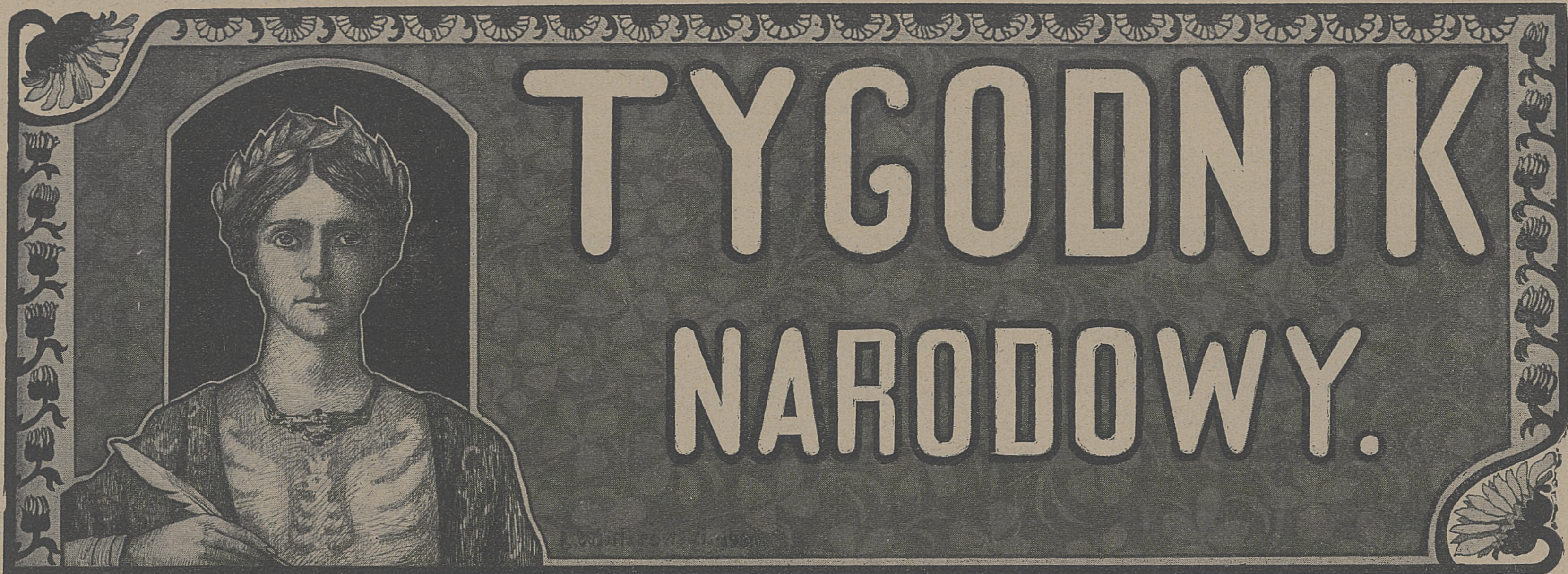
Rok 1900. Lwów, 23. września. Nr 50.



Redaktor: Klemens Kołakowski. * * * * * * * * Redakcya i Administracya we Lwowie, przy ul. Klonowicza l. 3.

Treść Nr. 50:

Do Czytelników!

Z miesiącem bieżącym kończy się pierwszy kwartał wydawnictwa „Tygodnika Narodowego“ pod nową redakcyą.

Sąd o wartości zmian, dokonanych przez nas w treści i formie zewnętrznej czasopisma — pozostawiamy Szanownym Czytelnikom. Ze swej strony zapewniamy, że usilnem staraniem naszem jest i będzie: rozwijać pismo coraz więcej i uczynić je w całem słowa znaczeniu organem inteligentnych rodzin polskich. Dążąc do tego celu, nie szczędzimy pracy i wkładów materyalnych.

Ażeby jednak ten jedyny w Galicyi polityczno-społeczny, literacki tygodnik illustrowany zdołał się utrzymać, niezbędnem jest poparcie ze strony tej publiczności, której duchowym potrzebom pragnie on służyć. I o poparcie takie odwołujemy się do warstw wykształconych w kraju.

Prosimy przedewszystkiem tych łaskawych Czytelników, których prenumerata kończy się z kwartałem bieżącym, ażeby zechcieli odnowić ją wcześnie, gdyż tym sposobem unikną przerwy w otrzymywaniu pisma, a nam ułatwią uregulowanie nakładu.

Przyjaciół zaś naszych prosimy o rozpowszechnianie „Tygodnika“ w gronie znajomych, od liczby bowiem wzrastających czytelników zawisło stopniowe ulepszanie pisma.

Prenumerata do końca roku wynosi z przesyłką pocztową złr. 2 (koron 4), a należy ją przesyłać wprost do Administracyi „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie (ul. Klonowicza 3.)

Czytelnicy, którzy uiszczą prenumeratę za cały rok zgóry (zł. 8.) otrzymają w styczniu, jako bezpłatną premię, album, zawierające reprodukcye dzieł sztuki pierwszorzędnych malarzy polskich i obcych.



„Lewy Środek“.

Jeszcze jedno stronnictwo! Dowiadujemy się, że w tych dniach odbył się wiec „demokratyczny“, na którym został uchwalony program nowego stronnictwa, występującego na widownię polityczną w Galicyi. Program układali posłowie sejmowi i do Rady państwa, którzy wprawdzie wyznają zasady demokratyczne, jednak nie godzą się na program obozu narodowo-demokratycznego, uchwalony na Zjeździe lwowskim 22. sierpnia br. Na czele nowej organizacyi partyjnej stają posłowie sejmowi, tz. secesyoniści z klubu lewicy, dalej ci, których wybrano do Sejmu z kuryj miejskich przy ostatnich wyborach uzupełniających, a wreszcie paru demokratycznych członków wiedeńskiego Koła polskiego, niezadowolonych z kierunku polityki demokratów polskich w Radzie państwa.

Już secesya z klubu lewicy sejmowej kazała obawiać się rozłamu wśród narodowej demokracyi naszej; mylnie komentowany przebieg lwowskiego wiecu sierpniowego, a bardziej jeszcze niezręcznie skombinowany program, w którym pomieszano sprawy taktyczne z zasadniczemi tak, że ogół, nie sięgając głębiej, nie może sobie zdać jasno sprawy z właściwych znamion stronnictwa, — przechyliły wagę i oto, dzisiaj żywiołom narodowo-demokratycznym kraju zagraża rozbicie się na frakcye. Mamy już „Klub reformy“ i „Obóz narodowo-demokratyczny“, a teraz ma przybyć nowy związek, któremu dają miano „lewego środka“.

Mimowoli nasuwa się na pamięć historya stronnictw niemieckich w austryackiej Radzie państwa. Przed laty, kiedy w Izbie poselskiej istniał jeden tylko klub Niemców liberalnych, klub ten decydował o wszystkiem, a Niemcy rządzili państwem; skoro jednak rozbił się na frakcye i frakcyjki, — upadła też hegemonia niemiecka i dzisiaj osłabiony Michel jakże ciężkie musi staczać walki o utrzymanie tego, co niegdyś tak łatwo sobie przywłaszczył!

Demokracya nasza nie była nigdy czynnikiem decydującym w ciałach reprezentacyjnych; ale, jak długo szła kupą a solidarnie, posiadała zarówno w Sejmie, jak i w Kole polskiem wpływ bardzo poważny. Osłabiła ją secesya, a dzisiaj powstanie klubu lewego środka dokona zupełnego rozstroju. Secesyoniści narodowo-demokratyczni wsiąkną poprostu bądź w obozy radykałów i socyalistów, bądź też w żywioły konserwatywne, bo będą zbyt słabi, iżby utrzymać swą odrębność.

A fakt taki posiadałby znaczenie równie doniosłe, jak niepomyślne. Musiałby spowodować zachwianie się pewnej równowagi w społeczeństwie, bo wydałby je na pastwę z jednej strony bezwzględnie radykalnych agitacyj, z drugiej zaś—wpływów konserwatyzmu, równie bezwzględnego.

Otwarcie mówiąc, nie należymy do bezwzględnych zwolenników taktyki, promulgowanej w programie narodowo-demokratycznym z 22. sierpnia; przeciwnie, w niejednym kierunku radzibyśmy poczynić zastrzeżenia i zmiany, któreby narodowym demokratom zapewniały odrębność zewnętrzną od innych stronnictw. Ale też nie uznajemy, bo nie widzimy potrzeby rozbijania stronnictwa w chwili, kiedy zasadom, wspólnym wszystkim jego frakcyom, grozi tyle niebezpieczeństw zarówno z prawej, jak i z lewej strony. Taktycznych enuncyacyj Zjazdu z 22. sierpnia nie uważamy bynajmniej za ewangielię i dogmat programowy. Wszak niejedną wybujałość, więcej może z krewkości osób, niż z zasad obozu wynikłą, można zmoderować odpowiednio do przekonań całego polskiego ogółu demokratycznego zwłaszcza, że w kwestyach podstawowych nie widzimy pośród odłamów obozu różnicy. Czyliż nie lepiej dla sprawy, próbować porozumienia i utrzy-

mania solidarności ze swoimi, aniżeli, dając folgę ambicyom osobistym, tworzyć nowych prezesów i sekretarzy, aby wraz z wszyskiemi prezydyami demokratycznemi pójść na służbę socyalistów i konserwatystów?

A nie słyszeliśmy wcale, iżby zwolennicy „lewego środka“ próbowali takiego porozumienia i jak długo nie wyczerpią wszystkich sposobów ocalenia całości obozu, — tak długo separatystyczne ich działanie będzie zawsze narażonem na krytykę i naganę ze strony prawdziwych wyznawców zasad demokratyczno-narodowych a nawet ze strony każdego, kto ponad jednostki, nawet najzacniejsze, stawia wyżej zasadę i kwestyę bytu stronnictwa.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nowy rozłam.

Posłowie: dr. Godzimir Małachowski, Michał Michalski, dr. Emil Byk, dr. Wład. Dulęba, Jakób Piepes-Poratyński i dr. Gustaw Roszkowski wystąpili z komitetu stronnictwa narodowo-demokratycznego. Jako powód podają, że pragną bezwarunkowej solidarności z Kołem polskiem, oraz że niegodzą się na promulgowany sojusz (?) z socyalistami.

Ruch wyborczy w Galicyi.

Namiestnictwo lwowskie rozpisało wczoraj termin wyborów. Głosowanie z kuryi V. naznaczono na dzień 13., z kuryi wiejskiej na 17. grudnia; z miast na 20. grudnia, z Izb handl. 10. stycznia, a z wielkiej własności na 15. stycznia.

Dotychczasowy obraz przygotowań wyborczych, — który, oczywiście może się jeszcze bardzo zmienić, — przedstawia się tak:

Kurya V.

Biała-Wadowice-Chrzanów-Wieliczka-Żywiec: kandyduje ks. Stojałowski.

Bochnia-Tarnów-Brzesko-Dąbrowa-Pilzno-Mielec: przeciw dotychczasowemu posłowi Bojce (ludowiec), wysuwają sie kandydatury ks. Stojałowskiego i ks. Zygulińskiego. Poseł Bojko, ogłasza, że nie zamierza kandydować z kuryi V.

W Krakowskiem: przeciw dotychczasowemu posłowi, Daszyńskiemu, występują: Węgrzyn (stojałowczyk) i prof. dr. Czerkawski (katolicko-narodowy).

Nie jest jednak pewnem, azali p. Daszyński, lub inny socyalista postawi tu swą kandydaturę.

Sanok-Krosno-Jasło-Brzesko-Lisko-Drobromil: dotychczasowy poseł Stapiński.

Nowy Sącz-Grybów-Gorlice-Nowy Targ-Limanowa: Gutowski, prezes Towarzystwa nauczycieli lud. z Nowego Sącza (ludowiec). Socyaliści kandydują tu p. Misiołka.

Rzeszów-Strzyżów-Tarnobrzeg-Ropczyce-Kolbuszowa-Nisko: Jan Frankiewicz (ludowiec) i Antoni Bomba (stojałowczyk).

Łańcut-Jarosław-Cieszanów-Jaworów-Gródek: dr. Józef Hibl (ludowiec).

Przemyśl-Mościska-Rudki-Sambor-Drohobycz: dotychczasowy poseł, dr. Witołd Lewicki (narodowo-demokratyczny).

W okręgu lwowskim: p. Józef Hudec (socyalista) przeciw dotychczasowemu posłowi Kozakiewiczowi (socyaliście).

W Stanisławowskiem przeciw p. Bogdanowiczowi, który zresztą donosi, że nie kandyduje, występuje były poseł sejmowy, włościanin ruski, Huryk.

Kurya IV.

Bochnia-Brzesko: występuje aż trzech kandydatów: Fr. Wójcik (ludowiec), ks. Stojałowski i dr. Józef Orłowski z Wiednia („dzika“ kreatura).

Kraków Chrzanów-Wieliczka: dr. Szczepan Mikołajski, lekarz i Fr. Wójcik.

Biała-Żywiec: Kubik (stojałowczyk).

Wadowice-Myślenice: Józef Stolarski (ludowiec), prezes Rady powiatowej.

Nowy Sącz-Limanowa-Nowy Targ-Grybów: Stanisław Potoczek w miejsce Jana Potoczka.

Tarnów-Dąbrowa-Pilzno: Jan Krajewski, włościanin (ludowiec).

Przemyśl-Dobromil-Mościska: Zygmunt Czajkowski, włościanin (ludowiec) i ruski radykał, Tesla.

Łańcut-Nisko: ksiądz hr. Komorowski i Józef Stelmach, burmistrz z Niska (ludowiec).

Jasło-Krosno-Gorlice: Michał Mięsowicz (ludowiec) i Jabłoński, naczelnik sądu z Krosna.

Rzeszów-Kolbuszowa: dotychczasowy poseł, Szajer (stojałowczyk) i Czepielowski, organista z Dzikowca (ludowiec).

Mielec: Krempa (ludowiec).

Sanok: Staruch, włościanin ruski.

Lwów-Gródek, przeciw dotychczasowemu posłowi, Merunowiczowi, występują Polak: Witołd Traczewski i Rusin dr. Konstanty Lewicki. Mówią także o p. Erneście Breiterze.

Brzeżany-Podhajce-Rohatyn: dotychczas wysunęło się na widownię trzech kandydatów moskalofilskich: ks. Maszczak z Potutor, ks. Bilinkiewicz z Kuropatnik i dr. Iwan Dobriański ze Lwowa.

Miasta.

Lwów: Obaj dotychczasowi posłowie, minister Piętak i dr. Dulęba zamierzają kandydować ponownie. Ostatni jednak znajdzie podobno kontrkandydata. Mówią o kandydaturze Rewakowicza, który ma wielkie widoki zwycięstwa. Inni wysuwają prof. dra Rydygiera.

Kraków: Dr. Weigel ogłasza, że nie kandyduje, ale przyjmie ewentualny wybór. Kandyduje także prof. Sokołowski ponownie. Podobno jednak przeciw Weiglowi wyborcy zamierzają kandydować dyr. Rottera, a nie jest wykluczoną także kandydatura Daszyńskiego i prof. Bujwida.

Rzeszów-Jarosław: na mocy układu, obecnie kandydata mianują wyborcy rzeszowscy, którzy nie życzą sobie już prof. Rychlika. Proponowano mandat dr. Steczkowskiemu, dyrektorowi lwowskiej Kasy oszczędności, ten jednak nie przyjął. Wobec tego wymieniają: p. Władysława Jahla, burmistrza jarosławskiego, dr. Roderyka Alsa z Rzeszowa, a nawet starostę Fedorowicza. Inne nazwiska okazały się tylko dowolnemi kombinacyami dzienników.

Stryj-Drohobycz-Sambor: na miejsce prof. dr. Roszkowskiego występuje cały szereg kandydatów, a to: dr. Reiter, kandydat adwokatury ze Lwowa, Ernest Breiter, redaktor „Monitora“, Michał Walichiewicz ze Lwowa i i., z Rusinów ks. Bobikiewicz.

Brody: Kandyduje ponownie adw. dr. Byk. Wiadomość, jakoby ustąpił miejsca dla p. Horowitza, okazała się nieprawdziwą.

Izby handlowe.

Wszędzie występują dotychczasowi kandydaci z wyjątkiem Brodów, gdzie na miejsce p. Rosenstocka kandyduje adw. dr. Natan Loewenstein ze Lwowa.

*

Ks. Stojałowski odbył w tych dniach naradę w Krakowie z przewódcami swej partyi. Obrady były poufne.

Rada naczelna stronnictwa ludowego zbiera się 30 b. m. na posiedzenie we Lwowie, celem ostatecznego mianowania kandydatów.

Sejmiki relacyjne zwołali posłowie z wielkiej własności: Jaworski do Złoczowa na 27. b. m., a p. Giżowski na 20. b. m. do Sambora.

Obadwa oddziały krajowego komitetu centralnego, lwowski i krakowski, odbędą dzisiaj, 23. bm., we Lwowie pierwszą, wspólną naradę. Jak wiadomo, komitet centralny składa się obecnie — po wystąpieniu zeń demokratów — wyłącznie z przedstawicieli obozu konserwatywnego. Tę niewłaściwość składu krajowego komitetu centralnego odczuwają sami konserwatyści, albowiem przedmiotem dzisiejszych narad będzie przedewszystkiem pytanie, azali nie wypadałoby już teraz przeprowadzić reformę komitetu. Rozumieć tu należy zmianę składu komitetu taką, iżby w nim zasiedli także członkowie innych stronnictw, w danym wypadku chyba tylko tz. secesyonistów obozu demokratycznego, inne bowiem stronnictwa stanowczo zerwały z komitetem centralnym. Ggdyby zwyciężył projekt reformy, natenczas p. Jaworski zwołałby niezwłocznie posiedzenie sejmowego Koła polskiego. „Czas“ doradza, iżby, nie czekając reformy, komitet centralny już teraz przystąpił do akcyi wyborczej.

Stanowisko stronnictw niemieckich.

Przewódcy stronnictw niemieckich odbyli w Wiedniu konferencyę, której wynikiem jest postanowienie utrzymania nadal tz. „Gemeinbürgschaft“, oraz domaganie się, ażeby język niemiecki został uznany w Austryi za język pośredniczący.

Niemieckie stronnictwo ludowe wydało odezwę wyborczą, która kładzie nacisk na to, że nie chodzi tu jedynie o uregulowanie języka urzędowego, które dotyczy pojedynczych części państwa, lecz o decydującą dla istnienia monarchii kwestyę, czy Austrya, wierna historycznemu rozwojowi organizmu państwowego, ma istnieć i rozwijać się pod przewodnictwem niemieckiem i pod hegemonią języka niemieckiego, jako języka państwowego, lub też manowcami eksperymentów federalistycznych ma dojść do zupełnej politycznej zawisłości od Węgier, od klerykalno-feudalnego panowania, do czeskiego prawa państwowego i tem sam do rozbicia państwa.

Niemcy muszą przy zbliżających się wyborach dowieść, że gotowi są zniweczyć z pomocą własnej narodowej siły tego rodzaju tendencye. Deputowani, należący do niemieckiego stronnictwa ludowego wywalczyli wspólnie z innemi stronnictwami niemieckiemi zniesienie rozporządzeń językowych, rozgromili autonomiczno-słowiańską większość Izby deputowanych i doprowadzili do zizolowania Czechów. Odezwa zaznacza następnie, że niemieckie stronnictwo ludowe stoi niewzruszenie przy swoich ekonomicznych i socyalno-reformatorskich żądaniach. Członkowie tego stronnictwa składają w przeświadczeniu sumiennego spełniania obowiązków swoje mandaty w ręce wyborców.

Posłowie niemieckiej partyi ludowej odbyli ponowną konferencyę w sprawie wyborów. Uchwalono, ażeby niemiecka partya ludowa nie popierała kandydatur radykalnych, Schönererowców, ani też chrześcijańsko-socyalnych.

Czesi przed wyborami.

Klucz całej sytuacyi spoczywa zawsze jeszcze u Czechów, którzy już rozwijają gorączkową agitacyę wyborczą. Na dotychczasowych zgromadzeniach wszędzie uchwalono, jako hasło wyborcze: czeskie prawo państwowe i obstrukcyę, chociaż z niektórych sfer wyrażano opinię, że sprawę obstrukcyi należy pozostawić posłom samym do ocenienia. „Narodni Listy“ upominają przyszłych posłów, iżby ani na krok nie ustąpili z żądań dotychczasowych, grożąc im w razie przeciwnym rychłą utratą mandatów. Przy obecnych wyborach pojawiają się wśród Czechów dwa nowe stronnictwa, a to robotników radykalnych i partyi postępowej. Wogóle jednak skład delegacyi czeskiej niewiele się zmieni, a nastrój jej umysłów pozostanie takim, jak był dotychczas.

Szach perski.

Szach perski przybył do Wiednia 20. bm. Powitany na dworcu przez cesarza, zamieszkał w burgu. Z Wiednia udaje się szach do Konstantynopola, gdzie sułtan gotuje mu bardzo uroczyste przyjęcie.

Prawa wyjątkowe przeciw Polakom.

Na dzień 26. b. m. zjeżdżają się do Poznania wszyscy ministrowie pruscy na naradę, której celem ma być ułożenie nowych praw wyjątkowych przeciw Polakom. Pisma pruskie donoszą, że antypolskie rozporządzenia ministra Studta spotkały się z uznaniem u wszystkich jego kolegów w gabinecie, którzy też pragną jak najdalej posunąć walkę przeciw Polakom. Tak wyglądają konstytucyjne swobody w państwie „bojaźni Bożej“!

Kolonizacya Wielkopolski za pomocą Niemców siedmiogrodzkich.

W tych dniach udaje się do Siedmiogrodu asystent Izby rolniczej poznańskiej, dr. Kahlden, ażeby niemiecką ludność tamtejszą nakłonić do przesiedlania się w Poznańskie. W Siedmiogrodzie, jak wiadomo, przebywa milion Rumunów, 800 tysięcy Węgrów i 200 tysięcy Niemców, protestantów. Na wiadomość o tej podróży agitacyjnej „Siebenbürger Tageblatt“, pisze, iż nie dowierza hakatystom pruskim, bo przyrzekają więcej, niż mogą dotrzymać. Siedmiogród — pisze ów dziennik — straciłby wiele sił roboczych, których mu dzisiaj już nie wystarcza, a stosunki robotnicze w Poznańskiem, gdzie rządzą junkrowie pruscy, są tego rodzaju, że nawet polskiego robotnika nie mogą zadowolić, a cóż dopiero Niemca siedmiogrodzkiego, który w kraju, u siebie, znacznie więcej zarabia.

Słusznie domaga się wiedeński „Vaterland“, ażeby rząd nie pozwolił p. Kahldenowi na ową podróż werbunkową.

Zatarg rumuńsko-bułgarski.

Władze rumuńskie aresztowały w Botuszanach kapitana Kissimowa, który należał do rewolucyjnego komitetu macedońskiego i wciągnął doń wielu oficerów, Bułgarów, pozostających w wojsku rumuńskiem. Z tego powodu rząd rumuński postanowił usunąć urzędników bułgarskiego pochodzenia. Konflikt Rumunii z Bułgaryą zaostrza się coraz więcej, wzdłuż granicy obu państw co chwila wybuchają zatargi i bójki. Wkrótce król Karol wraca do Bukaresztu, aby zwołać parlament, któremu rząd przedstawi przebieg zatargu z Bułgaryą i zażąda upoważnienia do przedsięwzięcia dalszych kroków. Wobec poważnej sytuacyi, Turcya postanowiła wysłać ku granicom Bułgaryi korpus wojska, celem obserwacyi.

Nowy skandal w Serbii.

Brzydkie sprawy wyszły na jaw po ustąpieniu gabinetu Georgiewicsa, który otrzymał był dymisyę z powodu opozycyi przeciw małżeństwu króla. Nowy gabinet Iwanowicza, objąwszy rządy, nie zastał w kasach państwowych ani szeląga, tak, że na wydatki bieżące musiał zaciągnąć 2 miliony franków w Banku narodowym. Pokazało się, że pieniądzmi w wysokości 10 milionów fr. podzielili się dawni ministrowie i ekskról Milan. Ten ostatni w trzech latach wybrał z Banku narodowego 10 milionów fr., chociaż temu przeczy. Ministrowie zaś brali na swe potrzeby po 15 i 40 tysięcy franków. Rząd postanowił wytoczyć im obecnie proces.

Z Chin.

Trwają jeszcze tu i ówdzie utarczki z Bokserami, w których żołnierze niemieccy popisują się mordowaniem jeńców „bez pardonu“, onegdaj znowu doszła wiadomość o wymordowaniu przez Chińczyków podróżującej w celach handlowych misyi belgijskiej, — ale pomimo to sytuacyę w Chinach można uważać za dość spokojną. Rosya, dotrzymując zapowiedzi, wycofała już część swych wojsk z Pekinu, a za jej przykładem idą Francuzi. Układy pokojowe nie postępują na razie, albowiem nie wszystkie mocarstwa wyznaczyły swe warunki. Wynikło nawet nieporozumienie pomiędzy Niemcami, a Stanami Zjednoczonemi, co do tych warunków. Rząd niemiecki poczynił żądania, idące tak daleko, że Stany Zjednoczone zagroziły nawet usunięciem się od wspólnej akcyi mocarstw. Ze strony Chin przedłożono następujące propozycye pokoju:

1) uznanie neutralności Tientsinu; 2) zmianę Mandżuryi w osobne neutralne państwo, dzielące terytorya Chin i Rosyi;, 3) upoważnienie mocarstw do utrzymania stałych załóg w portach traktatowych, o ile uznają tego potrzebę; 4) ukaranie — nawet śmiercią — przewódzców ruchu bokserów: 5) odszkodowanie strat materyalnych.

Ten ostatni punkt będzie bardzo ciężki, skoro nawet Włochy, które wysłały zaledwo dwa bataljony do Chin, żądają 30 miljonów lirów odszkodowania, akcentując ze szczególnym naciskiem umiarkowanie swoje, a Watykan za zburzenie misyj katolickich zamierza domagać sie za pośrednictwem Francyi 2,400.000 funtów sterlingów. Jakże w takim razie przedstawiłyby się żądania Rosyi, Niemiec i Anglii w pierwszym, Japonii i Stanów Zjednoczonyoh w drugim rzędzie!

Wojna w Transwaalu.

Krwawe zapasy Burów z Anglikami mają się ku końcowi, a wynik ich łatwym był do przewidzenia. Lord Roberts, ogłosiwszy zajęcie obu republik, powraca do Anglii, pozostawiając naczelne dowództwo jen. Bullerowi, który będzie ścigał niedobitków. Zdaje się, że wśród drobnych oddziałów burskich upadł duch i wiara w zwycięstwo sprawy. Ponoszą one ciągłe klęski, a wielu chroni się na terytoryum portugalskie. Wyjazd Krügera, który ogłasza, że udaje się do Europy dla poratowania zdrowia, oddziałał na Burów deprymująco. Wprawdzie w wydanej odezwie przeczą oni, jakoby Krüger usunął się od spraw publicznych i protestują głośno przeciw aneksyi, ale jest to już tylko ostatni okrzyk pokonanych. W ostatnich dniach poległ dzielny ich jenerał De Wet. Rząd portugalski dał Krügerowi okręt wojenny dla odbycia podróży do Europy. Tymczasem zaś rząd angielski pragnie skonfiskować miljony, złożone przez Krügera w bankach europejskich, gdyż uważa je za własność państwową, a nie prywatną.

Niebawem będzie zwołanym parlament angielski dla zadecydowania o przyszłej formie rządu zawojowanych republik południowo-afrykańskich.



Przemysł niemiecki.

Przedstawiając na początku rb. parlamentowi projekt podwojenia floty wojennej, rząd niemiecki uzasadniał go koniecznością obrony interesów handlowych i przemysłowych w krajach zamorskich i oświadczył, że stosunki ekonomiczne Niemiec są tak pomyślne, iż będzie można pokryć miliardowe koszta budowy nowych okrętów bez zaciągnięcia pożyczki i podwyższenia podatków, ze zwykłych dochodów państwa. Przemysł, w którego interesie postanowiono stworzyć flotę, miał też dostarczyć potrzebnych funduszów. Powoływano się przytem na wzrastający od lat kilkunastu stale rozwój wielkiego przemysłu i handlu z zagranicą, i wykazywano na podstawie rachunku prawdopodobieństwa, że obrót handlowy Niemiec podwoi się za lat kilkanaście, a temsamem wzrośnie dochód państwa z podatków i ceł dowozowych.

Byłyby to idealne stosunki. Niemcy w takim razie zdobyłyby wraz z dobrobytem ekonomicznym, dzięki przedsiębiorczości swego przemysłu, na koszt odbiorców zagranicznych, potężną flotę wojenną i takie stanowisko na morzu i w stosunkach wszechświatowych, jakie zajmują od r. 1870 na lądzie Europy.

Okazuje się jednak, że rachuba rządu i popierających go stronnictw była mylna. W pół roku po owych szumnych zapowiedziach nastąpiło groźne przesilenie, a wystarczy rozejrzeć się w stosunkach, aby się przekonać, że nie jest przypadkowe i przejściowe. Bezpośrednią jego przyczyną jest wojna transwaalska, powstrzymująca dopływ złota do Europy i wywóz towarów niemieckich do Afryki, oraz wypadki na Wschodzie Azyi, które przerwały handel z Chinami. W rzeczywistości jednak zmniejszenie się produkcyi złota jest niewielkie, a ani Afryka południowa, ani Chiny nie należą do ważniejszych odbiorców wyrobów niemieckich. Te dwa kraje sprowadzały w latach ostatnich towarów niemieckich łącznie za niespełna 80 mil. mk., gdy roczny wywóz Niemiec wyraża się cyfrą 3,400 mil. marek. Zaznaczyć przytem trzeba, że skutkiem wojen handel z Chinami i Afryką południową nie ustał zupełnie, lecz zmniejszył się tylko mniej więcej o połowę.

Zatargi wojenne przyspieszyły tylko o kilka lat wybuch przesilenia, wywołując

pewien brak gotówki i podwyższenie stopy procentowej, ograniczając cokolwiek zapotrzebowanie w kraju i wywóz za granicę. Skoro to stosunkowo nieznaczne wstrząśnienie równowagi ekonomicznej wystarczyło, aby zachwiać całym przemysłem niemieckim, to właściwe przyczyny przesilenia muszą leżeć wiele głębiej, w całej organizacyi przemysłowej i handlowej i stosunkach ogólno-krajowych.

Stosunkowo ogromny handel i przemysł niemiecki opiera się na bardzo słabych podstawach, na samej tylko przedsiębiorczości i udoskonaleniach technicznych, ale brak mu kapitałów, brak doświadczenia i planu wytwórczości, przedewszystkiem zaś odbiorców. Pod wpływem rozmachu, uzyskanego przez wypadki polityczne, rzucono się w Niemczech przed dwudziestu kilku laty do pracy przemysłowej, z wielkiem początkowo powodzeniem. Wyroby niemieckie, głównie skutkiem swej taniości, przedostały się na rynki wszechświatowe i zaczęły wypierać francuskie, austryackie i angielskie. Wraz z powodzeniem wzrastała przedsiębiorczość i żądza zarobku. Zakłady przemysłowe namnożyły się w całym kraju i wytwarzając bez planu i rachunku, zaczęły zasypywać wszystkie rynki swemi towarami.

Równocześnie Niemcy rzucili się na przedsiębiorstwa zagranicą, umieścili miliardy w zakładach przemysłowych, kopalniach i urządzeniach komunikacyjnych w Ameryce, w Chinach, Afryce, w części także w Królestwie, aż wreszcie zabrakło kapitałów w kraju. Skutkiem tego było podniesienie się stopy procentowej, równocześnie zaś podniosła się cena robotnika, a wzrastająca nieustannie konkurencya zmusiła do obniżenia ceny wyrobów. Następstwem tych stosunków było zmniejszenie się zysków.

Nie zważano na to, w przekonaniu, że zapotrzebowanie towarów niemieckich powiększać się będzie stale i zbyt masowy zastąpi wysokie zyski. Zapomniano, że także kraje inne rozwijają się pod względem przemysłowym, i w miarę wytwarzania własnego przemysłu, zamykają swe rynki dla wyrobów zagranicznych. Dopiero teraz, kiedy nastąpiło przesilenie, zwrócono na to uwagę i spostrzeżono, że mianowicie Ameryka i Anglia, które należą do głównych odbiorców Niemiec, ograniczyły znacznie swój dowóz, i ogromne zapasy wyrobów niemieckich pozostają bez nabywców. Aby przytoczyć tylko jeden przykład: W roku 1895 wywieziono z okręgu handlowego Greiz do Stanów Zjednoczonych tkanin wełnianych za 4,226.991 mk., w roku następnym za 2,401 543; w r. 1898 za 915,393, a w roku przeszłym już tylko za 203,962 mk. Podobnie ma się rzecz z przemysłem żelaznym, który nie odczuwa dotąd jeszcze bardzo przesilenia tylko z powodu ogromnych zamówień ze strony zarządu kolejowego i marynarki niemieckiej. Można jednak przewidzieć chwilę, kiedy żelazny przemysł niemiecki znajdzie się w położeniu jeszcze gorszem, niż tkacki.

Zabardzo spieszono się w Niemczech z pracą przemysłową, wierzono na ślepo w dobrą gwiazdę, łudzono się nieskończonością rozwoju, przeceniono siłę nabywczą rynków zagranicznych, a zwłaszcza zamorskich, i narażono się przez to lekkomyślnie na utratę zysków, któreby zapewniły Niemcom rzeczywiście przemysł, rozwijający się spokojnie.

WALENTY ĆWIK.

Telegraf między Europą a Azyą.

(Dokończenie).

Wśród rozległej sieci, długości 150.000 *km*, pośredniczy dziś elektryczna iskra przy wymianie ludzkiej myśli, a jak pośredniczy dzielnie, stwierdził w roku 1896 pobyt Li-hung-czanga w Europie. Słynny obecnie wicekról niebieskiego państwa, wysłał był w czasie swej podróży z Greenvich do serdecznego przyjaciela i współpracownika, dyrektora chińskich telegrafów, Szenga w Szangaju, 85 słów liczący telegram, który, mimo kilkakrotnego przetelegrafowania, przebył całą daleką drogę w ciągu $12^1/_2$ minut. Szeng odpowiedział 94 słowami, które już w 7 minut od chwili nadania znalazły się w rękach Li-hung-czanga.

Tego rodzaju pośpiech nie przypada tam, co prawda, w udziale Europejczykom, którzy żalą się ustawicznie na spóźnienia w ekspedycyi depesz. Przyczyną tego w znacznej części wzrastający ruch i rozwój telegraficznej korespondencyi.

Podczas gdy w roku 1869 pośredniczyło 25 stacyj w wysełce 425.000 telegramów, wypracowało w ćwierć wieku później 124 stacyj 2,100.000 depesz. W roku 1875 przetelegrafowano w wymianie z Australią 235.000, w dziesięć lat później 537.000 słów, cyfra ta podniosła się w ciągu dalszych lat dziesięciu go 1,860.000 wyrazów. Podobnie miała się rzecz i z depeszami wschodniej Azyi, zwłaszcza zaś w ostatnich latach.

W miarę zwiększania się liczby telegramów, zmniejszała się znacznie ich objętość. Wynosiła ona w r. 1869 po 35 wyrazów, spadła zaś w r. 1894 do 11 wyrazów przeciętnie na jedną depeszę. Równocześnie podniosła się atoli znów długość słów z pierwotnych 5 liter, przeciętnie do $7^1/_2$ i zbliżyła się w ten sposób do najwyższego wymiaru dla ruchu kablowego t. j. do 10 głosek.

Opłaty za telegramy, mieniane z Chinami, są zawsze jeszcze nader wysokie, pomimo, iż opisana angielska linia kablów nie pozostała bez konkurencyi. Współzawodniczy z Anglią w tej mierze Dania. W małym tym kraiku, który wobec swej insularnej konfiguracyi był zniewolonym, podobnie, jak Anglia, skierować uwagę na podmorskie przewody, powstało Towarzystwo, które na wschodniej półkuli walczy o lepsze z angielskim monopolem. Potężne to Towarzystwo: Store, Nordisk Telegraph Selskabl, rozporządzające kapitałem 36 milionów weszło w życie 1 czerwca 1869 i skierowało w pierwszym rzędzie swe zabiegi w celu telegraficznego połączenia ojczyzny z sąsiedniemi terytoryami. Szesnaście jego przewodów, długości 6.500 km, przecina wody morza Niemieckiego, Bałtyku, Skagierraku i Kattegatu, pośrednicząc przy wymianie depesz między skandynawskiemi monarchiami (w r. 1896 619.000 telegramów), niemniej między Anglią i Francyą z jednej, a Rosyą z drugiej strony (w r. 1896 440.000 telegramów). Sławę światową zdobyło sobie atoli Towarzystwo duńskie nie siecią kablów w Europie, lecz podmorskiemi przewodami u odległych brzegów wschodniej Azyi.

Nie lada piętrzyły się zrazu trudności, zanim wcielono Chiny do owej sieci telegraficznej, częściowo angielskiej, częściowo duńsko-rosyjskiej, która opasuje pierścieniem Europę i Azyę.

Duńskie Towarzystwo uczyniło pierwszy w tej mierze krok próbny. Wyładowywanie z okrętów hongkongskiego kablu (roku 1871) na duńskie terytoryum Szangaju odbywało się w nocy i pokryjomu, i dopóty trzymano kabel na miejscu starannie w ukryciu, dopóki ludność nie uspokoiła się i nie przekonała, iż nowe przedsiębiorstwo nie grozi żadnem niebezpieczeństwem. W dwa lata później postępowano tak samo w Amoj, przełamując w ten sposób opór, na jaki natrafia w Chinach wszystko, co nowe i obce. Z kablu korzystali zrazu wyłącznie prawie kupcy cudzoziemscy, to też nierychło zdołał się przekonać rząd w Pekinie o nieszkodliwości, raczej o dodatnich stronach obcej innowacyi. Dopiero konflikt z Rosyą o Kuldżę (r. 1881), który nie pozostał zresztą bez wpływu także i na rozwój kolei w Chinach, rozproszył uprzedzenia władz niebieskiego państwa, te bowiem pragnęły mieć rychłe wiadomości tak o toku wypadków u dalekich granic, jak i poza granicami monarchii.

Li-hung-czang, wończas wice-król prowincyi Bili, zlecił był duńskiemu Towarzystwu przeprowadzenie połączenia jego rezydencyi Tientsinu z Szangajem. W ciągu pięciu miesięcy wybudowano pod zarządem duńskich inżynierów 1350 km. długą linię telegraficzną. Wielkie zrazu piętrzyły się trudności, ludność bowiem tem bardziej pragnęła widzieć w ustawianiu słupów telegraficznych i przeciąganiu drutów, zakłócanie spokoju nieboszczyków i drażnienie duchów, ile że w ubogim w drzewo kraju nadawały się wybornie słupy na opał, druty zaś do rozlicznych innych celów. Z początku niszczyli też mieszkańcy ustawicznie przewody, dopóki zniecierpliwiona władza jednym zamachem nie położyła temu ostatecznego kresu, zaopatrując każdy słup telegraficzny w cesarski edykt, z groźbą kary śmierci dla winnego uszkodzenia telegrafu, a obietnicą nagrody dla każdego, kto wyśledzi sprawcę nadużycia. Gdy w ten sposób zabezpieczono przewody, a ludność poznała dodatnią stronę instytucyi, zdobył telegraf w lot niebieskie państwo w rozmaitych tegoż prowincyach.

W roku 1882 połączono Kanton, największe miejsce handlowe południa, z Hongkongiem, w następnym roku Peking z Tientsinem i przedłużono linię z Szangaju do Fu-czu, poczem wybudowano w ciągu jednego roku linie długości około 3500 km. Najbardziej zawzięcie z wszystkich prowincyj opierał się innowacyi Hunan i ten jednak obszar zdobył ostatecznie zakład telegrafów w r. 1897 tak, iż dziś łączy drut stolice wszystkich 18 chińskich prowincyj, niemniej i Mandżuryę. Przewody sięgają na zachód do najbardziej wysuniętego na kresy miasta, do Suczu w prowincyi Kansu, skąd mają je przedłużyć do Kaszgowu w chińskim Turkestanie, może, jako pionierów przyszłej kolei żelaznej. Niebawem złączą się one z środkowo azyatyckiemi liniami telegrafów Rosyi, posuniętemi do Taszkientu i Kuldży. Na południu stykają się chińskie telegrafy, jak to już nadmieniono, z francuską siecią Indo-Chin i angielskiej Birmy, na północ od Pekinu zaś trzykrotnym splotem z wielkim kontynentalnym telegraficznym szlakiem Rosyi.

Żadna ze zdobyczy europejskiej kultury nie uzyskała tak łatwo i wszechstronnie prawa swojszczyzny w granicach niebieskiego państwa, jak — telegraf.

K. S.

Z pobytu w Brukseli.

(*Pierwsze wrażenie. — Ozdobne domy. — Czystość i pracowitość. — Starożytności. — Muzea. — Wirtz i jego obrazy. — Licytacya produktów spożywczych. — Wszystko przez licytacyą! — Aleksander Sochaczewski. — Odwiedziny u artysty. — Jego prace i marzenia. — Przewiezienie „Sybiru“ do kraju).*

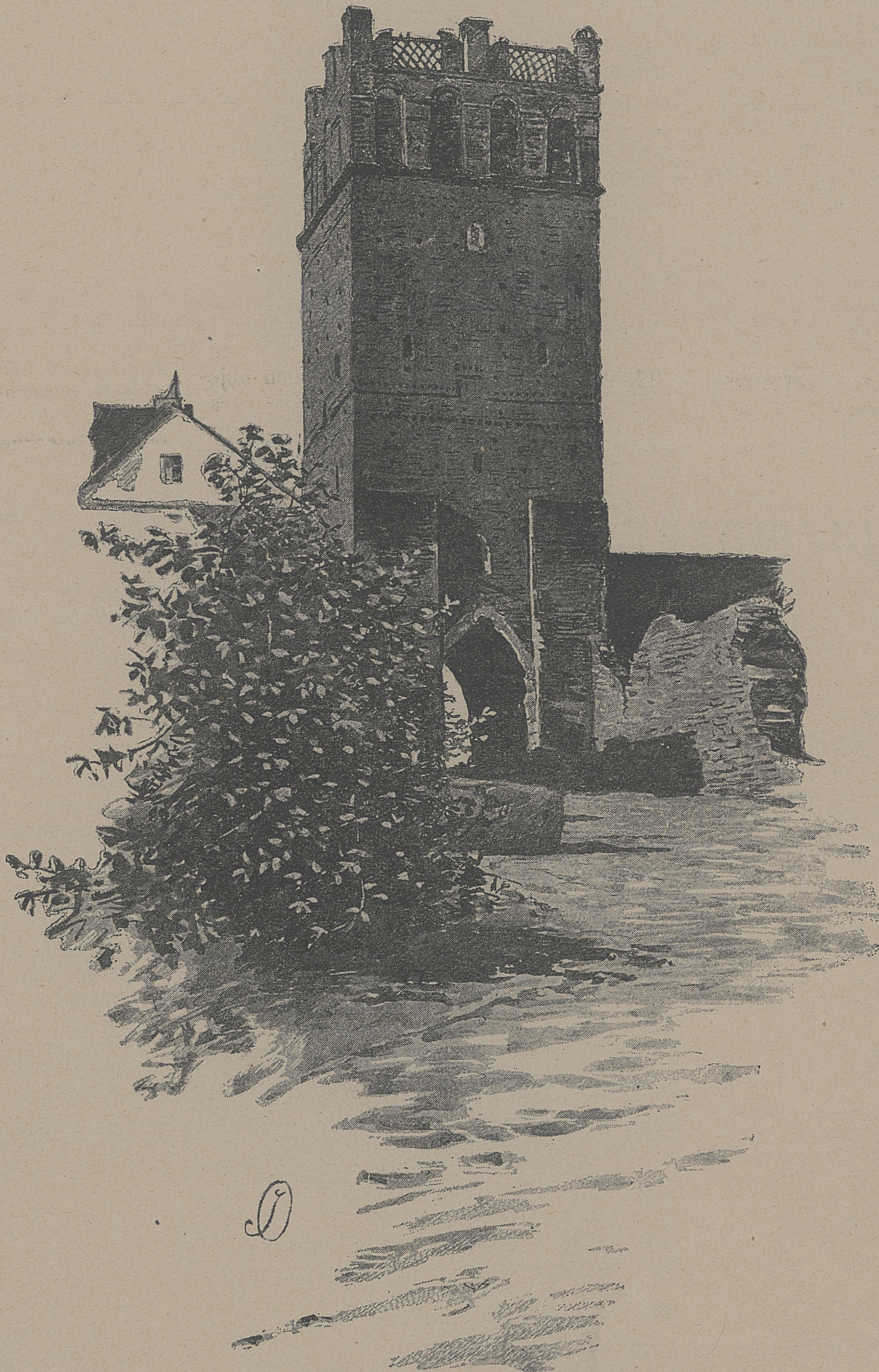


Pierwsze wrażenie, jakie na obcym przybyszu czyni ogólny widok Brukseli, nie jest wcale korzystnem. Miasto, położone w kotlinie, tonie we mgle szaro - brunatnej, z której wynurza się zaledwie na parę miesięcy letnich. Oryginalny natomiast widok sprawiają szeregi małych, nadzwyczaj ozdobnych, chociaż niezawsze gustownych domków. Nie widziałem miasta, gdzieby, tak dbano o zewnętrzne *decorum* budynków. Frontowe ściany kamieniczek, po największej części malowane w kwiaty dziwaczne, postaci, krajobrazy, pełne złoceń, lub deseni układanych z różnobarwnych kafli. Tak samo zdobne okna mieszkań parterowych o szybach, malowanych w różnobarwne, często dziwaczne wzory. Inni wystawiają w oknach mniej, lub więcej artystyczne graty, rzeźby, bronzowe statuetki, majoliki, wazy chińskie, nawet osobliwsze zegary. Kogo na to wszystko nie stać, stawia w oknie klatkę z kanarkiem, wreszcie pięknie przybraną lalkę, byle okno było przyozdobione koniecznie. Największą jednak ozdobą każdego domu, dziedzińca, ogródka, jest taka czystość, o jakiej w naszym kraju nie śniło się chyba nikomu. Myją codzień wszystko, poczynając od poddaszy, kończąc na trotoarze. W sobotę myją prócz tego każdą rzecz z gruntu, zalewają wszystkie kąty po kolei naprzód mydlinami z sodą, a następnie potokami czystej wody. Pracę tę wykonują kobiety, najczęściej same właścicielki kamienic z nadzwyczajnem zamiłowaniem. Bogate i nieraz wykształcone kobiety nie żenują się drewnianych trzewików, fartucha i miotły. Za to w niedzielę wszystko to, poczynając od pomywaczki, a kończąc na bogatej kamieniczniczce, przedzierżga się w eleganckie damy i dąży do *Bois de Cambre*, pięknego, ogromnego parku, gdzie bawią się, jak umieją, do późnego wieczora. Ruch niedzielny w Brukseli czyni na nas, cośmy nawykli do ogólnego przygnębienia, wrażenie nadzwyczaj miłe. Publiczność jest rozbawiona, ochocza; wracając z wycieczek, śpiewa skoczne galopki, śmieje się, flirtuje. Nie przeszkadza im to, wstać nazajutrz o świcie i uprzątnąwszy dom najskrupulatniej, stawić się o ósmej do zwykłych zajęć. Mężczyźni nie uchylają się od żadnych zajęć domowych: korzystają z każdej godziny wolnej, by coś w gospodarstwie naprawić, urządzić, ogrodzić, zasadzić, lub oczyścić. Kobiety najczęściej, oprócz zajęć domowych, szukają pracy zarobkowej. Niedziw, że mają za co zabawić się w niedzielę i że skrzętne rodziny kupują sobie, a najczęściej budują domki, nieraz o dwóch tylko oknach frontowych, ale z kamiennemi, a nawet marmurowemi schodami, kominkami, przymurkami i wielkiemi na całe okno szybami.

Kompania budownicza ułatwia im to znakomicie, budując na długoletnią spłatę na raty, a nawet, jako asekuracyę na życie. Każdy więc, dzięki tej mądrej instytucyi, skombinowanej z rozumnym systemem opodatkowania, może z łatwością być u siebie i dba też o swoje gniazdo.

Z budynków starożytnych zachowała Bruksela, prócz odwiecznej, gotyckiej katedry św. Guduli, cały plac, zabudowany domami w stylu renesansowym z końca XIV. i początku XVII. stuleci. Góruje wśród nich ratusz z wieżą wysoką, budynek nadzwyczaj lekki, wdzięczny, ozdobny, w swoim rodzaju arcydzieło sztuki architektonicznej. Naprzeciw niego zbudowany w tym samym stylu dom królów Flandryi, cały, jakby złożony z haftów i koronek, wygląda na kunsztowne cacko, nie na gmach, co przetrwał stulecia. Wokoło dawne domy cechowe, ozdobne, pełne złoceń, dziś przeważnie restauracye i piwiarnie. Jeden zużytkowany na salę licytacyjną. Stanowią one wdzięczne dopełnienie tych ram kunsztownych, które zamykają rynek kwiatowy „Wielkiego placu“. Wieczorem, gdy wysoko zawieszone latarnie elektryczne zastąpią przesiewane przez wieczną mgłę blade światło słoneczne, plac ten wydaje się jakiemś tajemniczem, fantastycznem, wymarzonem zjawiskiem. Jest to największa osobliwość Brukseli

Jest tam jeszcze jakiś unikat wykopaliskowy o nazwie dla mnie niejasnej i tak trudnej do zapamiętania, że wybaczy szanowny czytelnik,



BRAMA OPATOWSKA W SANDOMIERZU.

gdy po bliższe informacye odeślę go do słownika paleontologicznego.

Oczywiście, niebrak zabytków wszelkiego rodzaju w muzeach. Jedno z nich, starożytne, pełne Van Yków, Van Dyków i Rubensów. Jest wielka monotonia w tej flamandzkiej szkole. Co do mnie, oddałbym ją całą za jeden portret Filipa, pendzla Tycyana. Ale trudno go wyszukać, tak go umieszczono na pośledniem miejscu w muzeum. — Jest też nadzwyczaj ciekawe muzeum Wirtza, malarza z połowy bieżącego stulecia, który żadnego swego dzieła nie chciał sprzedać. Miasto wyznaczyło mu pensyę dożywotnią, po śmierci zaś artysty wszystkie malowidła wraz z domem, pracownią i ogrodem przeszły na własność Brukseli. Są to płótna olbrzymie, nadzwyczaj wykończone, wymuskane niemal, treści przeważnie mistycznej i allegorycznej, pełne aniołów, szatanów, duchów, lwów, orłów i t. p. Jest bardzo nieudatny cyklop, pożerający ludzi, — co ma być aluzya do Napoleona I. Dalej ten sam bohater stulecia zanurzony w ogniach piekielnych. Dziwaczną jest fantazya p. t.: „Wrażenia i myśli ściętej głowy“. Znajdujemy jednak kilka płócien wspaniałych, gdzie można podziwiać zarówno pomysł, jak i niezrównaną technikę artysty. Wirtz lubował się w tematach tragicznych: spalone dziecię, samobójstwo, szał, zbrodnia, pogrzebanie żywcem, — wszystko to wstrząsa tem więcej, że jest wykonanem znakomicie.

Ale Bruksela posiada osobliwość całkiem odmiennej natury, a dowodzącą wielkiej praktyczności jej mieszkańców. Są to jedyne w swoim rodzaju licytacye produktów spożywczych. Z całej Belgii sprowadza się towar w ten sposób, że każdy producent ma prawo bezpłatnie ładować na kolej wszystko, co ma na sprzedaż, nie więcej jednak nad dwa wagony naraz. Towar tego samego dnia dostaje się do Brukseli, przewozi do wielkiej hali centralnej, rozpakowuje i wyprzedaje się niezwłocznie za pomocą licytacyi. Wieczorem producent otrzymuje zrealizowaną za swój towar sumę po odliczeniu określonego procentu, wcale niewygórowanego. Łatwość i pewność zbytu podniosły sadownictwo, ogrodnictwo, hodowlę bydła i drobiu. Belgowie wysilają się na pierwszorzędne gatunki i nowalie; prócz tego sprowadzają zza granicy ową criée, zwierzynę i owoce południowe, zza morza nareszcie, z ich ukochanego Kongo, oprócz znanych już światu kokosów i bananów,— najróżniejsze, dziwne owoce. Z Brukseli wywożą to wszystko do Anglii i sprzedają z ogromnym zarobkiem. Ale już to, co się spożywa w mieście, stanowi rubrykę poważną. Życie w Brukseli jest tanie; niewielkim kosztem można nietylko się wyżywić, ale nawet dogodzić podniebieniu.

Wszelkie inne, ruchome i nieruchome przedmioty sprzedają się w Brukseli za pomocą dobrowolnej licytacyi, a więc meble nowe i używane, odzież, starożytności, nawet dzieła sztuki. W tym celu pozakładały się kompanie. Dość jest napisać do której z nich, a natychmiast przyseła wóz kryty po przeznaczone na licytacyą fanty i rzeczy są sprzedane bez najmniejszej zwłoki najczęściej ku zadowoleniu właściciela.

Inaczej dzieje się rzecz z licytacyą przymusową, od której woźny nie pobiera z obu stron procentu. Fantów takiego biedaka nikt nie wiezie do pięknie udekorowanej sali, nie ustawia korzystnie, nie zachwala. Byle uzyskać żądaną sądownie sumę, fantują rzeczy zabezcen, wystawiając w nieładzie na ulicy, przed domem niewypłacalnego dłużnika.

Takiemu to losowi miały ulegnąć obrazy z Sybiru Aleksandra Sochaczewskiego, zamieszkałego w Brukseli artysty-malarza, Sybiraka, w chwili, gdy komitet, urządzający w Krakowie jubileusz wszechnicy Jagiellońskiej, zwrócił się doń o nadesłanie dwóch jego mniejszych płócien, mianowicie „Poranek“ i „Wieczór“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Bożydar.





I ja mazur, i ty mazur...

J. M. — za mazurki poświęca
Autor.

I ja mazur i ty mazur —
Widzim w piosnce nieba lazur
Mazowieckiej tej krainy,
Co ma Wisłę i równiny:
Wisłą płynie na kraj świata,
Ziemią — aż się z niebem brata.

Widzim niwy te wzorzyste,
Potoczyste a poliste,
Gdzie na kwiatach błyszczą rosy,
A z pod rosy — błyszczą kłosy!
Aż kukułka w ciemnym borze
Ledwie plony zliczyć może.

Ej, gdzie tobie, miłe ptaszę,
Zliczyć skarby wszystkie nasze!
I te w polu — na zagonie
I w mazura skrytem łonie!
Ot, gdy przyjdzie zbierać pora,
Licz choć z rana do wieczora.

Jak ci pójdą grać w przegony
Sierp i kosa przez zagony,
To grać będą, jak w kościele,
Albo grajek na wesele,
A skowronek tam, w przestworze,
Ledwo zdąży: „Szczęść wam, Boże!...“

Niech tam inny ma swe góry,
Niemasz ziemi nad mazury!
Kiedy pójdziesz wzdłuż oczyma,
Nic ci wzroku nie zatrzyma,
Przejdziesz sobie bez oporu
Przez sam siny rąbek boru.

Na widnokrąg ten daleki
Jedzie mazur wstęgą rzeki,
I, gdy taka wola Boża,
Pójdzie Wisłą het — do morza,
A gdy zdarzy się potrzeba,
Pójdzie mazur hen — do nieba!...

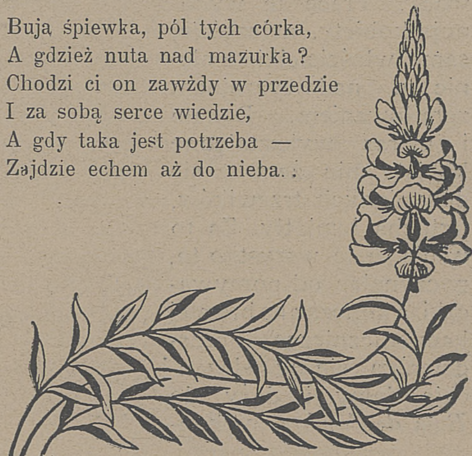
Chodzim sobie po tej ziemi
Mazur z pługiem, piosnki swemi,
I w Mazowsza sieje głuszy
Ziarna w garści — piosnki w duszy,
A gdy we łbie mu się pali,
To hołubcy tnie — a dalej!

Samowity ma ci taniec:
Hej, od końca aż po kraniec!
Jest zaś w piosnce zawadjaką,
Lub w niej zamknie boleść taką,
Że ci zda się, gdy potrzeba,
Zajdzie piosnka aż do nieba...

I ja mazur, i ty mazur!
Jużci swój ten nieba lazur,
Swoje wzdłuż i wszerz równiny
Mazowieckiej tej krainy,
I te wierzby, co się kłonią
Ponad Wisły szarą tonią.

Niech tam inny ma swe góry,
Niemasz ziemi nad mazury!
Kędy pójdziesz wzdłuż oczyma,
Nic ci wzroku nie zatrzyma,
I, gdy zdarzy się potrzeba,
Zajdzie mazur choć — do nieba...

Buja śpiewka, pól tych córka,
A gdzież nuta nad mazurka?
Chodzi ci on zawżdy w przedzie
I za sobą serce wiedzie,
A gdy taka jest potrzeba —
Zajdzie echem aż do nieba...



Bronisław Kowalewski.

NA DNIE.

I.

Znikła jego ostatnia nadzieja, znikąd już nie może wyglądać pomocy, wszędzie kołatał nadaremnie z rozpaczliwą prośbą o pracę, od niejednych już drzwi odszedł z krwawym, palącym rumieńcem na twarzy, z upokorzeniem i cichą wściekłością w duszy. Wszystko daremnie; oto, wraca z ostatniego miejsca, gdzie mu obiecywano zajęcie i już nie ma gdzie udać się dalej, wszystko skończone. Umysł jego nie zdaje sobie jeszcze jasno sprawy z całej okropnej grozy położenia, jeszcze ta pewność, że oto, on sam, on właśnie został pokonany w walce o byt i zginąć musi, że istnienie jego, to kwestya już prawie godzin tylko, nie zarysowuje się wyraźnie w tej zbolałej, wycieńczonej głowie. Potężna groza zewnętrznych warunków nie zdołała dotychczas złamać zwierzęcego, samozachowawczego instynktu, mózg mimowoli odpycha ostatnie żelazne konsekwencye faktów i dusza cofa się przed ponurem, kościstem widmem kresu istnienia. Burza uczuć bolesnych prze pod jego czaszką, cały ogrom ludzkiej niedoli, bolu, smutku, goryczy... wszystko, co tylko człowiek odczuć może, przeżywa w tej jednej sekundzie. Wychudłem jego ciałem wstrząsa febryczny dreszcz: dwa dni nie miał nic w ustach i ma już gorączkę głodową, łzy dławią go, a w tych ciemnych, zapadłych, bezdennie smutnych oczach maluje się cała otchłań rozpaczy. Zgrabiałemi od zimna rękoma zapina swój wyszarzany paltot, i na ustach jego pojawia się uśmiech, a raczej grymas kurczowy gryzącej ironii, gdy obrzuca wzrokiem swoje zniszczone ubranie. Ach, cóż dziwnego, że pan radca odmówił mu miejsca, wszak wygląda, jak ostatni obszarpaniec. Zwolna schodzi po marmurowych schodach pierwszej w kraju instytucyi na ulicę, obdarzony po drodze szpileczką, pogardliwem spojrzeniem otyłego woźnego, odzianego we wspaniałe futro, stojącego w swej loży. Od tej poważnej i pokaźnej „osoby“ do nędznej figurki petenta szło coś przygniatającego, jakby jakaś wroga, obca potęga, której on biedny przełamać nie mógł. W tejże chwili zrozumiał, co to jest: była to potęga poziomej filisteryi, uśmiech ukłonów, protekcyi i synekur, jednem słowem tryumfująca Abdera, a on miał nieszczęście być człowiekiem idei w życiu i słowach. W tej chwili właśnie wchodził majestatycznie na schody pan radca dworu; pan woźny zgiął się w głębokim ukłonie, a pan hofrat, skinąwszy mu łaskawie głową, wstępował na schody z miną uroczystą; znać było, że ważne sprawy na nim spoczywają. Dwóch niższych urzędników, przechodzących właśnie, spojrzało na niego wzrokiem, w którym malował się ich podziw i głęboki szacunek dla pięknego, złotego kołnierza pana radcy. Jasny promień zimowego słońca padł zza chmur i oświetlił tę grupę ludzi, odrywającą się wyraźnie na jaskrawem, białem tle marmurów.



TARG NA WEŁNĘ W WARSZAWIE.

G. M Wewiórski.



Z POLOWANIA.

II.

Prześliczny dzień zimowy, słońce grudniowe zapala tysiące iskier w śniegu, pokrywającym bulwary, a w powietrzu unosi się mnóstwo igiełek lodowych, świecących, jak brylanty. Na tle wspaniałych sklepowych witryn przesuwają się tłumy mężczyzn i kobiet w eleganckich, zimowych strojach; na wszystkich twarzach odbija się blask pogodnego dnia, zadowolona chęć pokazania się i widzenia. Wśród mnóstwa dorożek, tramwai i omnibusów przelatują szybkim, równym kłusem prywatne ekwipaże. Ruch, hałas, turkot i wrzawa; wśród szału i boleści maszyna świata obracała się z szalonym pośpiechem i rozpędem. — Przez ten wir ludzki, na tle przepychu zimowego dnia biegł on ulicami miasta do swojej nędznej izdebki, biegł ukryć swój żal, wstyd i boleść. Zdawało mu się, że padają na niego krótkie a uważne, lekko zdziwione spojrzenia ludzkie, że wszyscy szydzą z jego wytartego paltota i podartych butów i uciekał od tych spojrzeń zimnych i twardych, jak stal.

Ach, jak głęboko odczuwał on swoję nędzę w tej chwili, jak czuł się biednym, opuszczonym i samotnym wśród tego tłumu obojętnego, obcego, którego żadne serce nie biło ku niemu życzliwością. Był bezbronnym, nieporadnym, samotnym. Uczucie zupełnej samotności ogarnęło go, wywołując szalony ból; oto, całe życie swoje poświęcił idei, duszę miał pełną miłości, poezyi i zapału, a teraz stoi sam, jak palec, poza społeczeństwem, które niegdyś tak bardzo ukochał. Trzy lata bezmiernych trudów i nadludzkich wysileń minęły, w tej walce utracił wszystko, wyczerpał siły fizyczne i moralne i oto, dziś stoi u kresu. W tej chwili wśród hałasu wesołej sarabandy światowej, na rogu przepysznej ulicy, uświadomił sobie fakt, że oto, ta maszyna społeczna, którą miał przed oczyma, wyrzuciła go zgniecionego ze swoich trybów. Uczuł, że przestał być już cząstką tego tłumu, który bezlitośnie skazał go na śmierć, że rola jego skończona, że jest niejako żywym umarłym. Nakoniec logika faktów przełamała instynkt samozachowawczy i weszła do świadomości, umysł jego zdał sobie jasno sprawę z położenia, kościste widmo śmierci zarysowało się mu przed oczyma. Przechodząc pod wspaniałą kolumnadą pałacu sztuki, zrozumiał, że przestał już być członkiem społeczeństwa, że żadne nici go z niem nie wiążą, umarł niejako w swem własnem przekonaniu i myśli jego ogarnęła czarna noc rozpaczy. Jak jeleń, ścigany przez psy, biegł ulicami i dopadł nakoniec swojego mieszkania. Rzucił się na krzesło; cisza otoczyła go zupełna i martwy spokój; godziny upływały, a on siedział wciąż nieruchomo, wpatrzony w jeden punkt. Myśli, jak błyskawice, przelatywały mu przez głowę, ale ani jedna nie odcinała się wyraźnie w zbolałym mózgu, tylko na tle tego wiru świecił ognistemi głoskami wyraz: śmierć. I jak wicher stepowy, zajęczał w jego piersiach bujny żal za życiem młodej natury.

Z poza mgły, która przygniotła mu umysł, wyłaniały się wspomnienia życia całego.

To nuta tęsknej dumki ukraińskiej zagrała mu w duszy, to znowu zabrzmiał poważny szum dębowego lasu i złote kłosy zboża na polach rodzinnej włości pochyliły się falą pod powiewem wiatru. Całe życie jego od dzieciństwa, spędzonego w cichej wołyńskiej wsi, życie pełne pracy ciężkiej i smutków, miłości i uczuć tkliwych a silnych, radośnych poświęceń i boleści, przesunęło się mu barwnem pasmem przez duszę. A w tej białej mgle wspomnień świeciły twarze kochane osób dawno pomarłych, lub dalekich o, — bardzo dalekich od niego i żal przemógł go wkońcu, oparł głowę na rękach, z piersi wydobyło się mu łkanie, a z oczu popłynęły ostatnie w życiu łzy. Poważna cisza panowała w zimnej izdebce na poddaszu, a w tej ciszy głucho rozbrzmiewał jęk ginącego życia, rozgrywała się straszliwa tragedya ludzkiego istnienia. Zwolna zapadła noc, na ulicy błysnęły latarnie. Nikłe światło jednej z nich wpadło do pokoju i oświetliło ten obraz nędzy i rozpaczy.

Księżyc wypłynął już wysoko na szafirowe niebo, gdy on wyszedł z domu. Ciałem jego wstrząsają dreszcze, oczy przysłania mgła, idzie, chwiejąc się na nogach i co chwila opiera się o mur. Idzie hen, za miasto, do parku, tam położy się na ławce, okrytej śniegiem i mroźna zimowa noc dokona dobroczynnego dzieła ludzkości, bo on przecież nie ma za co kupić sobie rewolweru, ani trucizny. Rozpacz, żal i smutek opuściły go zupełnie, idzie, jakby pod wpływem nakazu jakiegoś wyższego fatum i uśmiecha się rozpaczliwie, smutnie, krającym serce uśmiechem, ale nikt tego nie widzi, bo... jest ciemno. Jest już zupełnie spokojny po strasznem wyczerpaniu rozpaczy, tylko mu czegoś tak smutno, tak tęskno! Płakałby jeszcze, gdyby mógł, ale nie może i zresztą wstyd na ulicy. Nareszcie jest za miastem, wokoło cisza, tylko zdaleka dochodzi gwar ludzkiego mrowiska i świeci łuna elektrycznego światła.

Drzewa i krzewy, okryte śniegiem błyszczą w świetle księżycowem, a wiatr czasami podniesie tuman srebrnego pyłu. Brnąc w śniegu po kolana, doszedł do ławki i usiadł; wzrok jego błądził po tem i owem, a wtem przez przeciwległe wzgórza przeleciał z hukiem i szumem pociąg kuryerski. I przez dziwne skojarzenie się wyobrażeń widzi znowu swoję rodzinną wioskę, ale już tak niewyraźnie, tak blado; powoli mózg jego wycieńczony zaczyna tracić świadomość, przechodzi w stan obłędu. Ach, jaka to dumka dźwięczy mu wciąż w uszach i usiłuje złożyć usta do gwizdania, ale przemarzłe ciało odmawia mu posłuszeństwa. Zwolna noc ogarnia mu głowę i usypia wiecznym snem. Zachmurzyło się niebo, zaczął padać śnieg i delikatne jego płatki otuliły jego zimne ciało.

Za parę dni znaleziono trupa i pogrzebano we wspólnym dole; tyle mu się przecież — należało.



k.

Dumna róża.

W dzień czerwcowy, w dzień gorący,
Kędy łąk kwiecistych szlak,
Zobaczyłem raz kwitnący
Dzikiej róży krzak.

— Różo — mówię — z swej korony
Daj mi, proszę, wonny kwiat;
Kwieciem twojem ozdobiony
Przejdę cały świat!

— O, przepraszam — rzekła dumnie —
Cofnij śmiałą swoję dłoń,
Dla cię niema kwiatów u mnie,
Dla innych ma woń...

— Do mnie przyjdzie rycerz w stali,
Korną prośbę złoży mi:
Jemu kwiat mój, – ty idź dalej;
Za grzeczność — *merci*

Przeszło lato. Znów widziałem
Ten sam dumny krzaczek róż;
Liściem szumiał pożółkniałem
I zwiądł nieco już.

— Witaj, chłopcze, szepce skromnie, —
Przyjacielu młodych lat,
Odpoczynek miej koło mnie,
Dam ci woń i kwiat...

— Wiem, że woń twa, to rozkosze,
Lecz, różyczko, wybacz mi:
Dziś już inny kwiatek noszę;
Za grzeczność — *merci*.



NA GRANICY SYBIRU.

Obraz Aleksandra Sochaczewskiego, wystawiony we Lwowie w cyklu prac artysty pt. „Sybir“.



SZKICE DO OBRAZU „NA GRANICY SYBIRU“.

1	Eichmiller	17	Karol Nowakowski (brat X. Wacława)
2	Michał } hrab.		
3	Miecz. } Wielohorscy.	18	Szukszta
4	Sochaczewski	19	Prof. Hoffmeister
5	Szaszków	20	Książę Kajssak
6	Roman hr. Bniński	21	Peszyński
7	Ks. Czetwertyński	22	Dr. Trzaskowski
8	Prof. Kędrzycki	23	Dr. Migurski
9	Bolesław Łożyński	24	Dr. Łagowski
10	Czerniszewski	25	Hr. Bnińska
11	Aleksander Oskierko	26	Łożyńska
12	Szczapow	27	Łagowska
13	Jakób Giejsztor	28	Prof. Dr. Czekanowski
14	Zienkowicz	29	Jan Frankowski
15	Zajczniewski	30	Gudzińska
16	Yoppe-Bey		

NA GRANICY SYBIRU.

Wystawione we Lwowie obrazy Aleksandra Sochaczewskiego*), a przedstawiające epizody z Syberyi, budzą żywe zajęcie wśród patryotycznej publiczności naszej. Wystawę odwiedzają liczni goście, z głębokiem wzruszeniem przypatrując się scenom z martyrologii narodowej, malowanym przez naocznego świadka, co lat 22 spędził tam, jako zesłaniec polityczny. Ażeby tym, co obrazów widzieć nie mogli, dać przybliżone wyobrażenie o ich treści, a tym, co oglądali oryginały — przypomnienie rzeczy, tak pamiętnych polskiemu sercu, zamieszczamy w dzisiejszym zeszycie „Tygodnika“ reprodukcyę największego z tych obrazów tak, jak ją zdołał wykonać zakład p. Trzemeskiego we Lwowie.

Obraz, zatytułowany „Na granicy Syberyi“, przedstawia chwilę, kiedy w r. 1863 partya zesłańców, — zarówno przestępców politycznych, jak i pospolitych zbrodniarzy — pod konwojem sołdatów moskiewskich przybyła pod słup graniczny, dzielący Rosyę europejską od Azyi. Zanim zdążono do tej granicy, można jeszcze spodziewać się ułaskawienia; z chwilą atoli wkroczenia poza słup, na ziemię sybirską, każdy żegnał się z nadzieją swobody. U tego słupa kończyło się wszystko... Rodzina, krewni, przyjaciele nie mogli już towarzyszyć dalej zesłanym. Słup ten graniczny był, jakby kamieniem grobowym skazańca. Zazwyczaj też oficer, prowadzący konwój, tutaj zatrzymywał się, aby towarzyszący skazanym mogli się z nimi pożegnać.

*) Szczegóły o Aleks. Sochaczewskim znajdzie czytelnik w artykule „Z pobytu w Brukseli“, który właśnie rozpoczęliśmy drukować w dzisiejszym zeszycie „Tygodnika“. — *Red.*

Rozkaz jego: „Pożegnajcie się!“ — był hasłem scen, rozdzierających serce...

Krajobraz przedstawia pokrytą śniegiem równinę z kamiennym słupem granicznym, co dzieli Europę od Azyi. Niebo ponure, zachmurzone. Na pierwszym planie widzimy przeważnie pospolitych zbrodniarzy, którym golono połowę głowy, a na policzkach i czole wypalano litery *K. A. T.*, co znaczy: *katorżnik*, skazany do robót w katorgach. Jeden z nich w sprzeczce z kozakiem, który się nań zamierzył; inni klęczą, pełni rozpaczy, lub modlą się. Pośród nich dalej widać skazańców politycznych.

Jedną z bliższych, po prawej stronie, jest pani Gudzińska z Warszawy, w pozycyi klęczącej. Przed domem jej zamordowano zdrajcę sprawy narodowej. Sprawcy nie wyśledzono, ale że fakt miał miejsce przed domem Gudzińskiej, więc ją skazano na śmierć, a później zamieniono karę na 15 lat pracy w kopalniach Sybiru. Dzielna niewiasta znosiła najstraszniejsze znęcania się moskiewskie. Zmuszana do najcięższych robót, podupadła na zdrowiu i zmarła w kwiecie wieku w szpitalu więziennym na Sybirze.

Artysta portretował te postaci, a ponieważ na rycinie naszej wszystkie trudno rozpoznać, przeto obok reprodukcyi, zamieściliśmy szkic twarzy, wykonany przez pana Sochaczewskiego i objaśniony spisem nazwisk. W martyrologii naszej znane to nazwiska: bohaterowie i bohaterki... Stoją u słupa granicznego, raz jeszcze zwracając oczy w stronę ojczyzny, której wielu nigdy już nie ma oglądać. Starsi i kobiety z rezygnacyą dźwigają kajdany; młodzi z pewną dumą... Jeden z młodzieńców zbliżył się do słupa, pokrytego rosyjskiemi i polskiemi napisami. Na oryginale napisy te można odczytać, a znamionują one nastrój serc i umysłów w chwili pożegnalnej. Czytamy więc w języku rosyjskim: *„Gospodi pomiłuj!“* — *„Dla tiebia żyzń moja!“* — a w polskim: *„Ostatnie westchnienie ku tobie“*, — *„Ojczyzno, żegnaj! — „Boże, zbaw Polskę“...*, Młodzieniec nasz ryje w kamieniu: *Jeszcze Polska nie zginęła“!*

Groza niewysłowiona tchnie z tego obrazu. Czujesz mroźne powietrze zimy sybirskiej, słyszysz nawoływanie sołdatów, brzęk kajdan, płacz niewieści... Patrzysz w oblicza bohaterów, co szli na śmierć powolną, a okrutną, na śmierć za wolność ojczyzny. Patrzysz i łzy głębokiego wzruszenia, łzy uwielbienia dla ofiar czujesz pod powieką...

Tak ojce nasi umieli żyć i umierać dla ojczyzny!



Henryk Lichtenberger,
prof. uniw. w Nancy.

FRYDERYK NIETZSCHE.

(Ciąg dalszy).

(Za zezwoleniem autora przetłumaczył Bertold Menkes).

V.



Okres zaprzeczenia kulminuje w latach od 1876—82; pojedyncze jego studya uwidocznione są w dziełach: „Menschliches Allzumenschliches“ (1878), „Vermischte Meinungen und Sprüche“ (1879), i „Der Wanderer und sein Schatten“ (1880). Sam określa ten okres życia, jako czas „wielkiego wyzwolenia“. „Co najsilniej wiąże?“ pyta Nietzsche. „Które pęta są prawie nierozerwalne? U ludzi zakroju wyższego i niepowszedniego są niemi obowiązki: uszanowanie, właściwe młodości, delikatność i bojaźń wobec powagi, wdzięczność dla gruntu, na którym się wyrasta, dla ręki, która prowadzi, dla świętości, do której się modli“. Pęta te rozrywa Nietzsche nagle, mimo iż były silnemi i mimo, że je kochał; zwraca się przeciw samemu sobie i odwraca się od swej przeszłości. Po lirycznem uniesieniu, jakie spotykamy w „Ryszard Wagner w Bayreuth“, stał się nagle niedowierzającym wobec wszystkiego, co przedtem uwielbiał; zdecydował się poddać wszystko zimnej krytyce, dochodzi do granic zaprzeczenia i przygważdża w swem sercu wszelką sympatyę dla ludzi i idei, z których się wyzwolił. Ta energia w wywalczaniu się pozostaje tą samą do końca życia. Znajdujemy ją znowu w „Morgenröte“ (1881), w „Fröhliche Wissenschaft“ (1882), w „Zarathustrze“ (1881—85), w „Jenseits von Gut und Böse“ (1886) i w „Genealogie der Moral“ (1887). Zdaje się nawet, iż z czasem wyrasta i zaostrza się fatalnie w ostatnim roku jego uświadomionego życia (1888). Nigdy Nietzsche nie napisał podobnie ostrej rzeczy, jak wydane w tym roku „Der Fall Wagner“, „Zmierzch bogów“, „Antichrist“ i „Nietzsche contra Wagner“. Duch zaprzeczenia stanowi bezsprzecznie istotę jego geniuszu. Zarathustra jest nietylko fundatorem nowej religii, eutuzyastycznym mędrcem, którego „jasna dusza“ mówi tak, „jak otwarte niebo“, jest również strasznym niszczycielem, który „mówi n i e, jak burza“, człowiek, który pogardza wszystkiem tem, co poważają dobrzy i sprawiedliwi, człowiek bezbożny, głoszący wszędy „śmierć Boga“, którego „gniew łamał grobowce, kamienie z posad rugował i stare tablice staczał w stromą przepaść“.

Nie należy się jednak mamić tą wybuchową siłą wystawienia, albo brać ją dosłownie. Błędem byłoby poczytywanie Nietzschego za „ducha, który wciąż zaprzecza“, za tegoczesnego Mefistofelesa, przedrwiwającego swym dowcipem i kpinkami wszystkie wierzenia i nadzieje ludzkości. Przeciwnie: Nietzsche sam doznaje — i to jest jednym z najznamienniejszych rysów jego istoty — tych uczuć, które potępia, a dla ludzi i idei, które zwalcza, dochowuje często głęboką miłość, i przywiązanie. Na przykład: Nietzsche zwalcza religię litości, jak widzieliśmy, z największą stanowczością i każe nam przez usta Zarathustry być „twardymi“, twardymi, jak dyament, twardymi, jak kilof, jeśli chcemy dopiąć prawdziwej wielkości, prawdziwej cnoty. A jak da się u niego samego psychologicznie uzasadnić powstanie tej teoryi? Czyż ma ona początek w zakamieniałości, w arystokratycznej pogardzie słabych i cierpiących, w artystycznym dyletantyzmie, odpychającym ból, jako rzecz „niepiękną“, w niemożności przyjścia z pomocą cierpiącym, słowem, w czemś negatywnem, w braku serca, lub siły? Byłoby to wprawdzie najracyonalniejsze, najprostsze wytłumaczenie, którem zresztą często się posługiwano, aby zdyskredytować myśli Nietzscheańskie. A jednak Nietzsche wytłumaczył sobie swe zachowanie zupełnie przeciwnie. Nie z braku, ale z nadmiaru litości doprowadził do zwalczania religii ludzkiego bolu. Samolub nie współczuje z bólem bliźniego,

i kroczy obok niego obojętnie, lub pogardliwie; litościwy wyczuwa ból, stara się o ulgę i doznaje przyjemności z tego powodu; jeśli się w tym kierunku dalej pójdzie, to litość objawi się nie, jako cnota, ale jako pokuszenie, które od się oddalić trzeba, jako najwyższe niebezpieczeństwo, zagrażające litościwemu. „Biada wszystkim miłującym, powiada Nietzsche „którzy nie mają ponad sobą wyżyny, co jest wzwyż ich litości! Dyabeł rzekł raz do mnie: I Bóg ma swe piekło; jest to jego miłość do ludzi. A niedawno rzekł do mnie: Bóg umarł; umarł wskutek swej litości nad ludźmi". Z tego widzimy, że Nietzsche bliskim jest wielkiej litości i wielkiej miłości, które zwalcza; w istocie swej należy do przeciwników egoizmu, z którymi na pozór zdaje się być zbratanym. Wytłumaczenie to zdaje się być z początku nieco naciąganem tak, że się mimowoli zapytujemy, czy pomyślanem jest również uczciwie, czy nie jest tylko sofizmatem, maską „ludzkości", mającą pokryć egoizm swego twórcy i upstrzyć go moralnie. Nie waham się jednak ani na chwilę wierzyć w szczerość Nietzschego, co do danego tu wyjaśnienia.

W jego dziełach znajdujemy obok zwrotów proklamujących konieczność niewoli, piękno wojny i piętnujących, jako czyn wzniosły, wyrządzenie innym boleści i niewzdraganie się przed wybuchami cierpienia ofiary, — dźwięki, świadczące o nieskończonej delikatności i dobroci, pochodzące z serca przepojonego litością i miłością. Przypominam n. p. „ostatni grzech" w czwartej części Zarathustry, „pokuszenie", na które naraża proroka litość, kiedy słyszy bolesny krzyk ludzkości.

I tak, możnaby wyliczyć jeszcze kilka zaprzeczeń Nietzschego, które po prawdzie są tylko affirmacyami, zaprzeczonemi wskutek niweczenia swej osobowości i doprowadzenia tej czynności aż do ostatecznych granic. Tak samo więc, jak litość, wskutek pokonywania swej jaźni staje się zatwardziałością, a altruizm egoizmem, tak ateizm jego bierze początek w uczuciu religijnem, a jego niemoralność w głębokiem poszanowaniu obowiązku. Ateuszem został z powodu religijnego uczucia, nim owładającego, a wskutek wysubtelnienia chrześcijańskiej moralności, poddał krytyce wartość trzymania się metody „kategorycznego rozkazu", a nawet wartość samej prawdy. Ten wyznawca „bezbożności" uczuwa wielką sympatyę dla „homines religiosi", ludzi wiary; chlubi się swą wielką niemoralnością, a przecież rzadko kto tak cenił wartość obowiązku; zwraca się przeciw kultowi prawdy, a przecież w sercu żywił entuzyastyczną miłość prawdy; ciska najstraszniejsze zarzuty przeciw Wagnerowi, a przecież nie przestaje go podziwiać; uwielbia francuską kulturę, a lekceważy niemiecką, a przecież wyczuć można, mimo wybuchów gniewu i ironii, bolesną miłość ku Niemcom, ku swej niewdzięcznej ojczyźnie, tak długo zapoznającej i ignorującej jego osobę. „Musicie być dumnymi z waszego nieprzyjaciela" poucza Zarathustra. Nietzsche czynami uzasadnił te słowa. U niego znaleść nie można tej pogardliwej zawiści, dążącej do pomniejszenia i zbezczeszczenia osoby pogardzanej, ale przeciwnie, często prawdziwą miłość dla zwalczanych przezeń osób i idei. W tem też tkwi tajemny czar, jaki wywiera jego osoba na tych, którzy go uważać muszą za strasznego wroga. Tak np. głosiciel niemoralności i ateusz Nietzsche cieszy się sympatyą u religijnie usposobionych ludzi, ponieważ zbliża się do prawdy o wiele więcej, niż te „letnie" umysły, zachowujące się wobec religii z obojętnością, albo ironicznem uszanowaniem.

Nietzsche nie jest tylko duchem zaprzeczenia. Ostatni okres jego życia odznacza się właśnie tem, że pozytywna strona jego istoty, zmalała od roku 1876, znowu zyskała stanowczy wpływ na jego działalność. O ile Nietzsche w „Menschliches, Allzumenschliches" przedstawia się, jako bezlitośny analityk, o tyle inny duch wieje już z jego „Jutrzni porannej". Do wojennych fanfar i gorżkich kpin domieszowuje radosne pienia, a po nocy pesymizmu świta jutrzenka nowej, jeszcze nieokreślonej przyszłości. Jasny snop światła powiększa się w „Fröhliche Wissenschaft", gdzie znachodzimy „sto oznak czegoś nieporównanego". I nagle przejawia się z „Zarathustry" niewysłowione natchnienie; cała ta książka jest tryumfalną pieśnią życia; skąpaną jest w strumieniu światła. Światopogląd młodzieńczy Nietzschego, dopatrującego się zbawienia światła w skrzeszeniu ducha dyonizyjskiego i tragicznej mądrości, panoszy się znowu wyklarowany, rozszerzony, świetlanemi barwami przepojony, a mimo innego uzewnętrzenia, łatwy do poznania w nauce o nadczłowieku.

Najwybitniejszem znamieniem współczesnego człowieka jest brak żywotności. Jego „ja" jest chorem, niepewnem, rozproszonem, a jego „mały rozumek" tłumaczy sobie to cierpienie, jako skutek różnorakich religij i filozofij pessymistycznych; wierzy w chrystianizm, nauki humanitarne i w religię poznania, osądza życie, jako złe, świat, jako padoł płaczu i tęskni za życiem pozaświatowem; przyjmuje zaświat, jako coś absolutnego, wyższego, Boga, ideę, dobro, prawdę. Jednakowoż należy zwalczyć i przekonać tę chorobę jaźni: człowiek powinien wyzdrowieć, roślina ludzka powinna coraz silniejsze i wyższe płodzić odrośle. A ta rekonwalescencya da się wyrazić, jako „przemiana wszystkich dotychczasowych wartości na nowe" (Umwertung aller Werte); człowiek strąci z piedestału wysokość i dotychczasowe swe ideały: Boga, dobro, prawdę; pozna, że człowiek jest miarą rzeczy i że życie nie ma innej wartości nad tę, którą on mu daje. Stanie się „stwórcą świata", „toczącem się kołem", śmiałym badaczem, igrającym o śmierć i życie, aby zjednać sobie wielką wygranę na tym świecie, a radośnie narazi swe życie i szczęście, aby osiągnąć ten cel. Nie sprzeniewierzy się więcej ziemi, stanie się zdecydowanym optymistą; tak pokocha życie, że myśl wiecznego powtarzania tego życia, „wiecznego powrotu" z radością przyjmie.

Bo to jest naszym losem: proces świata nie kroczy po prostej linii, ale jest olbrzymiem kołem, łańcuchem, w którym każde indywiduum stanomi ogniwo. Całe nasze życie w najdrobniejszych jego szczegółach już niezliczone razy przeżyliśmy i niezliczone razy przeżyjemy. A uświadomienie tego najwyższego prawa bytu, przyjęcie go bez oporu i z radością, jest celem, który stawia Zarathustra ludzkości; kiedy go osiągnie, stanie się człowiek nadczłowiekiem.

Nadczłowiek jest więc niczem innem, jak człowiek w stanie wyższej zdrowotności pod względem psychicznym i moralnym, człowiek, który, pozostawiwszy dawne tablice, poznał prawo „wiecznego powrotu". Przejście więc z człowieczeństwa do nadczłowieczeństwa dokonuje się — jak przejście z wiary do niedowiarstwa, jak z altruizmu do egoizmu — na podstawie negatywnego niszczenia wszystkiego, co dotychczas było pozytywnem; im głębiej człowiek cierpi, im dalej się posuwa w swej „décadence", tem bardziej się zbliża do chwili, kiedy poczuje w sobie siłę, przerość siebie samego i ostatnim podrygiem pogardy, miłości i zachwytu stać się nadczłowiekiem.

(Dokończenie nastąpi.)

Walenty Ćwik.

MYŚLI I ZDANIA.

1.

Kto raz „tak" wyrzekł, ten winien wytrwale
Stać przy sztandarze – na zwycięstwa szalę
Rzucać przezorność tylko wraz z zapałem,
Oddać się duszą i jestestwem całem,
Potąd nie spocząć wśród walki i czynu,
Pokąd nie uszczknie gałązki wawrzynu.
Podły to żołnierz, co przy twierdzy bramie
Stanie bezradny i oręż swój złamie —
Dalejże naprzód! Wśród gromów i burz,
Do wnętrza twierdzy: Dzierż, coś zdobył już!

2.

Są ludzie, u których strach nieladajaki
Budzą pędzące za nimi — ślimaki.



KAZET.



OCALONA.



Przenikliwem swem spojrzeniem zaczął ją już z oddali hypnotyzować. Chciała uciekać, ale jakaś niepojęta siła tego wzroku zdawała się ją wstrzymywać, przykuwać do miejca. Była młodą, w samym rozkwicie; żadna z licznych towarzyszek nie mogła jej dorównać rzeźkością... Nie dziw więc, że wpadła mu w oko, że dziką żądzą zawrzało mu łono, gdy ją ujrzał raz pierwszy. Tak. Ona i tylko ona! Ona musi wpaść w jego sidła, musi koniecznie, choćby go to, nie wiedzieć, ile trudów i zabiegów kosztować miało!

I oto, ma ją już blisko siebie: tyle czarów! Tyle ponęty! Tyle wdzięku!

Słyszy jej melodyjny głosik, który w ciszy pokoju wydaje mu się muzyką najsłodszą...

Spostrzegła go i oniemiała. Jakaś niewysłowiona groza wstrząsnęła całą jej istotą. Czuła, że stoi przed nią demon, niepokonany zwycięzca, który codziennie trofea z takich, jak ona, nieszczęsnych ofiar składa na ołtarzu swej nienasyconej żądzy.

Chciała się wyrwać z tych szatańskich sideł, które na nią już zarzucać zaczął, ale poznała wkrótce, że na to siły jej za słabe. Jęk przeciągły wydobył się z jej piersi...

Była młodą, tak jeszcze młodą! Chciała żyć, żyć koniecznie; wszak do dziś tak niewiele zaznała słodyczy, które nieprześcignionym nęciły ją urokiem! Nie, to być nie może! Ona nie pójdzie na pastwę tego tyrana. Ona kocha innego i jemu oddała serce.

Iloż to razy z swym ulubieńcem, przy wtórze dźwięcznej piosenki, która harmonijnie łączyła ich głosy, kąpała się w jasnych promykach słońca! Ile razy przy jego boku snem cichym zmorzona budziła się, ażeby rozpocząć nowe życie, swobodne, wesołe, bez troski.

A dziś? Dziś wszystko się skończy na zawsze, na wieki!

Jeszcze raz wytęża ostatki sił, dobywa z piersi głosu rozpaczliwego... może ją usłyszą towarzyszki... może przybędą na ratunek...

Napróżno! Tylko on jeden przy niej... On bez serca, bez litości — wampir.

Patrzcie... oto, już zbliża się do niej coraz prędzej, prędzej... Już czuje zapach tej krwi młodej, świeżej, roznamiętniającej go do szału... Już jest przy jej piersi, z której głuche tylko słychać rzężenie; chwilka jeszcze, a nieszczęśliwa padnie ofiarą. . . . .

. . . .

— Dość tej zabawki, potworze! — krzyknąłem, rzucając gazetę, przy której czytaniu śledziłem niecną robotę Machiawela, — a przedarłszy misterną sieć pajęczą puściłem biedną muszkę na wolność.

Trzepocąc skrzydełkami, wzleciała wysoko... Była ocaloną.



Edmund Kolbuszowski.

Z wierzeń ludowych.

(Ciąg dalszy)

I. GWIAZDY i GRZYBY.

SZKIC ETNOLOGICZNY.

Znaną jest nakoniec pomiędzy gminem figura Krzyża. Lud do tej figury zalicza pięć gwiazd drugiej wielkości, a wiemy, że ich tam w przestrzeni jest więcej, lecz stają się widocznemi tylko wtedy, gdy Chrystus Pan krzyż ujmie w swą rękę; wtenczas jaśnieje cały gwiazdami. Kiedy Syn Boży zasiądzie na sąd ostateczny, wtedy krzyż ten będzie trzymał niby berło. Przedtem jednak krzyż ogniem spadnie na ziemię i spali wszystkie na niej góry i zrobi się Józafata dolina, na której sąd się odbędzie (powiat gródecki.) Są też tacy na ziemi, którzy wcale nie widzą figury krzyża, szczególnie czarownicy i zatraceńcy.

Takie podaniowe gwiazdy krążą przed wzrokiem gminu na nocnem niebie. Są to, jakby jaśniejsze ogniska etapowe dla wyobraźni ludowej i promienne wspomnienia jego ducha ospałego. Jakim sposobem umysł tak napełniony legendowem światłem, cudami boskiej wszechmocy i prawdą nauk obyczajowych, nagle zanurzyć się potrafi w gruby mrok zabobonu, to istotną stanowi zagadkę. Poznajmyż to królestwo czarnej wiary.

Już same sny o grzybach, wieśniaczki uważają za zapowiedź nieszczęścia. „...Sen mi przyszedł — wyrzeka stara matka nad chorą córką — jakobym, po lesie czystym chodząc, grzybki brała. A nazbierawszy fartuch pełen, poczęłam je na grzędach sadzić — a wysadziwszy — do domu idę, aż patrzę w fartuchu jeszcze jeden ostał taki malutki; tak się zawróciłam do tej grzędy, żeby i tego przy tamtych zostawić — i zasadziłam go — na końcu. Mówiłam ja sen babom — a one rzeką: Nie dohodujesz się ty dziatek — nie dohodujesz... Bialutkie moje dziatki, cichutkie, czyściutkie, ino — że pożyczone — do czasu - aż je złe moce wezmą!“ *).

W okolicach lesistych lud przy grzybobraniu przestrzega pewnych prawideł zabobonnych, gdy wieśniacy innych wsi wyśmiewają podobne praktyki, nazywając je „ni do czego“.

W Lubelskiem (koło Turobina i Tarnawy), zważają na to, aby idąc na grzyby, nie przeżegnać się, ani modlić, bo huby pochowają się pod ziemię.

Trzeba się jednak koniecznie umyć. Niektórzy ludzie wcale grzybów znaleść nie mogą, bo „ono ich omroczy, ta zniewidzi — a śmiać się do nich będą tylko psiuki“. (Gatunek trujących grzybów).

Najlepiej posyłać dzieci na grzyby, bo ono nie ma żadnej do nich mocy, chybaby piekły grzyby na ogniu w lesie. lub pomieszały Koźlaki z Kozierożkami. — Owa nijakiego rodzaju figura baśni, którą gmin określa przez „ono“ jest nieuchwytnem jakiemś złem, posiadającem tajemniczą siłę do szkodzenia ludziom; to złe ma jednak pewne zakreślone granice, poza któremi szkodliwie działać nie może.

Obrzęd grzybobrania w „Panu Tadeuszu“ skreślony jest przez Mickiewicza bez przymieszki ludowych zabobonów, albowiem w poemacie lud nie bierze w grzybobraniu udziału. Mimochodem tylko wieszcz nasz nadmienia, że ludowe pieśni litewskie mówią o grzybach wychodzących na wojnę pod wodzą borowika, którego zowią grzybów pułkownikiem.

Podobnej pieśni nie słyszałem nigdzie, ale istnieją podania, iż grzyby same umieją śpiewać i gwizdać — a niekiedy cały las napełniają tejemniczym gwarem, piskiem i kwikiem. Sławione dalej w pieśniach litewskich bywają Lisice, zwane przez Polaków Liszkami, a przez Rusinów Łyszkami. Twierdzą wieśniacy. że je dwa razy zjeść można, tak trudne do strawienia, choć smaczne. Szafranowego są koloru, rosną na wałkowatych pieńkach z nakryciem przypłaszczonem, które lud zowie guzikiem. Drugi ich gatunek, nieco jaśniejszej barwy, ma kształt białych tulipanów, listki mięsiste, karbowane wierzchem. W grzybach tych rzeczywiście nigdy robactwo się zalęgnie — i według słów poety:

„Godłem są panieństwa — bo czerw ich nie [zjada
I dziwno, żaden owad na nich nie usiada“.

Istnieje jeszcze inny gatunek grzybów, które wieśniaczki zowią Pannami. Są barwy kanarkowej, korona ich tarczowa sfałdowana bardzo symetrycznie, niby krzyży. Są to ostatnie grzyby przed zimą. Rosną na pagórkach piaskowych, rzadkim mchem okrytych. Z pod pierwszego — ziemię przyprószającego śniegu, słomianą swą barwą żółcieją kupkami, niby matowane złoto.

*) Hrywda — powieść przez Marye Rodziewiczównę. Warszawa 1891.

Złośliwe to jednak grzyby, zaczarowane jakieś wiedźmy, owe Panny. — „Pewnego razu parobczak, już stateczny, zbierając te bedki, spostrzegł, że mu ręka nagle zczerniała, jak smoła. Zalękniony rzucił wszystko i pobiegł do domu. Tam okładano mu rękę wapnem i tłuczonemi pająkami, ale nic nie pomagało. Baba lekarka uznała, że to „dopust“, który trudno przemódz zamawianiem; dłoń napuchła i w przeciągu jednej doby parobczak umarł“. (Kraina, w Opatowskiem).

Szczególniejszem jest, iż pierwsze i ostatnie ogniwo w szeregu grzybów stanowi rodzaj żeński. Na czele stoją tak zwane Babki, pierwszy owoc leśny i pierwiosnki borów — ostatnie są Panny, późnej jesieni dary. A jedne i drugie uzyskały złośliwe przymioty, niby obywatelstwo niezaszczytne w królestwie guseł. Jakie zaś Babki wyrządzają psoty kobietom, gdy same do lasu idą, to poznamy z następującej skazki:

„Rankiem wczesnym po pierwszym deszczu wiosennym wybrała się młoda niewiasta za grzybami. W lesie słychać było jeszcze, niby wrzawę piskliwą poza pniakami, gdzie Babki rosły kupą. Po deszczu na wiosnę, to one się roją, jak pszczoły. Gdy kobieta Babkę urwała, zapaliła się jej jasnym płomieniem w ręku — a inne szczezły pod pniakami, wrzasnąwszy, jak stado gęsi. Cały rok owej kobiecie jątrzyła się ręka, aż dopiero znachor ze wsi sąsiedniej zamówił jej oparzelinę — oraz odgadł, że idąc do lasu, kobieta była nieczysta.“

Zapalne owe Babki-grzyby, mają kształty stożków; u wierzchu ciemnoszaremi karbami urozmaicone, łodyżki, czyli nóżki mają długie i białe. Drzewka w zabawkach dla dzieci, owe topolki z wiórowym liściem, są zupełnie podobne do Babek, nader delikatnych i smacznych.

Po Babkach z początkiem maja pokazują się Podpłotki, lub Podsadki, u Rusinów Pidsadki. Są to wygnańcy, przez pospólstwo grzybów odpędzone od borów. Rosną pod płotami sadów i stąd ich nazwa. Łodyżki mają cienkie, bardzo białe, denka talerzykowate; są dosyć smaczne, lecz tylko te, które nie w lesie rosną. Inne, co pozostały w lesie po jakimś sądzie — według fantazyi ludowej odbytym nad niemi, — zmarniały pośród innych grzybów i zamieniły się w pogardzane, bo jadowite psiuki.

Za podsadkami z kolei pierwszy zjawia się Grzyb prawdziwy, Borowik Mickiewiczowski. Rusini nazywają go Wijt, lub Borowy — lud polski daje mu w niektórych okolicach nazwę Mądrzyk, Leszczak i Leśnik, (w Kaliskiem i Piotrkowskiem). On to przekonywa się, czy ład panuje — a zarazem bywa wyrocznią, co do urodzajów przyszłego roku. Uważają więc wieśniacy, gdzie w maju rosną prawdziwe grzyby, czy w dolinach, czy po wyżynach, bo zboże następnego roku stosownie do tego zrodzi się — bądź na nizinach, bądź na górkach. Grzyby prawdziwe z kształtu powszechnie są znane; znajdujemy je w znacznych ilościach suszone na targach.

Za borowikiem, najpilniej zbieranym przez dziewczęta, wychylają się na świat Sołtysy. Jest to jakby świta zbrojna i pomoc borowika. Mniejsze od niego wzrostem, grzyby-sołtysy z kształtu podobne są do niego i z barwy. Cieńsze tylko mają nóżki.

Gdy tak bezpieczeństwo i ład zapewniono rzeszy grzyborostów, przybywają z dniem każdym nowe podgatunki grzybów. W nich rodzaj ludzki — oprócz wspomnianych Babek i Panien, Leśników i Sołtysów — jednego tylko jeszcze znajduje przedstawiciela w Muchomorze — Maramuch zowią go Rusini — a w Lubelskiem Popem, ubranym w kraśny ornat, z powodu malowniczej powierzchowności jego. Zresztą podgrzybki, Maślszkami, bądź też Maślakami zwane, uważa gmin za czarownice, bo mleko wysysają z Krówek (także grzybki) i niem tyją. W sanockiem lud ruski owe Maśluchy nazywa także Łazami i twierdzi, że gdy one licznie się rozsiędą, wtedy i grzyb prawdziwy, Wijt-Borowik, uchodzi, bo im zawsze pomaga jakieś licho. To wyobrażenie oparte jest zapewne na fakcie, iż tam, gdzie pierwsze (Maśluchy) rosną, grunt jałowieje, bo gąbczasty organizm ich zużywa soki wegetacyjne dla siebie, a innym grzybom odbiera możność uprawy naturalnej i rozrostu.

Są jednak i podan a o szkodliwości ich wobec ludzi. I tak: „Leśna pewna spotkała dzieci djaka, które nazbierały Maśluchów. Odebrała im je — i kobiałkę zagrabiła; miała bowiem „zawziątek“ do ich ojca. Przyszedłszy do domu, leśna postawiła zagrabione i własne bedki na ławie pod oknem, a zajęła się wieczerzą. Mając zamiar w przedświty powieźć grzyby do miasta, rychło z dziećmi ułożyła się do snu. W nocy przebudza ją krzyk chłopca śpiącego na przypiecku. Wołał przeraźliwie: Matusiu, bo po mnie łazi, matusiu, bo mnie dusi. — Skoczyła matka, ale pośliznęła się przy łóżku na wznak i potłukła się dotkliwie.

„Chłopiec tymczasem jęczał coraz żałośniej, że go dusi. Dziewczyna śpiąca z matką, dobiegła do komina, rozniecić ogień. Zobaczono tedy, że na szyi chłopca siedzą dwie ropuchy, a na rękach cała gromada żab. Wszystkim zaś ślepie błyszczały, jak sowie. Spędzono to brzydactwo i wymieciono do sieni. Spojrzała leśna do kobiałki, bo coś się ruszało — i widzi, jak z każdej maśluszki po kilka żab wyłazi, które skoczywszy na ziemię, wprost puszczają się do chłopca na przypiecek. Odmiatano je ku drzwiom aż do rana, a przecież lazły. Gdy zadniało, dziewczyna mówi do matki: Patrzajcie, to nie żaby, ale suche liście zmiatałyśmy na kupę. I tak było! Leśna zagląda do kobiałki: są maśluchy i bedki; ale ruszają się, bo pełno w nich robaków; nie miała przeto co ponieść do miasta.

„Chłopiec zachorował na gorączkę i przez całe lato nie mógł stanąć na nogi. Wożono go do lekarek, a jedna z nich oświadczyła, że musi zjechać na miejsce, bo w chacie jest „przyczyna“. Przyjechała więc i solą zarumienioną na ogniu odczyniała „zadaną“, a również posłała po djaka, poznawszy, że tu bez niego nie ma rady. Gdy przyszedł, powtórzyła zamawianie, a djak trzymał chorego, żeby krzyżem leżał na ławie. W czasie tych praktyk cudotwórczych, usłyszano niby jęk z pod ziemi: „Nie męcz! nie męcz!“ — Lekarka wtedy kazała djakowi kolnąć wrzecionem za piec, a gdy to uczynił, usłyszano kwik, i ogromne żabsko przebite wrzecionem wyciągnął djak z za pieca. Chłopiec wyzdrowiał, ale przez całe życie pozostały mu na szyi gule okrągłe, niby maśluchy“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nasze kresy.

— Cieszyn d. 16. września. (*Korespondencya „Tygodn. Narod.“*) W Cieszynie ciepło, — odbywają się wpisy do gimnazyum polskiego, któremu rząd i Niemcy dali już do pewnego stopnia spokój, widząc, że byt tej szkoły jest zapewniony, i do szkoły ludowej polskiej, będącej w tej chwili źródłem najgwałtowniejszych ataków na Polaków śląskich. Szkołę ludową polską Macierz szkolna dla księstwa cieszyńskiego otwiera w rozpoczynającym się roku szkolnym po raz pierwszy, a to dzięki hojnemu darowi (24 000 koron) na ten cel dra Hassewicza z Karlsbadu. Wynajęto dla szkoły odpowiednią ilość sal w domu p. Mattera przy ul. Elżbiety niedaleko gimnazyum polskiego, uzyskano pozwolenie Rady szkolnej krajowej śląskiej, rezydującej w Opawie i d. 15. b. m. rozpoczęto wpisy. Tymczasem Niemcy nie zasypiali gruszek w popiele i rozwinęli szaloną agitacyę przeciw szkole. Cieszyńska Rada miejska, która dotąd nigdy nie używała w swych enuncyacyach urzędowych języka polskiego, wydała odezwę polską pod napisem: „Do rodziców, którzy mają dzieci, uczęszczające do szkół ludowych.“ Odezwę tę rozlepiono na rogach wszystkich ulic w mieście i na wszystkich słupach telegraficznych w okolicy. Policyanci, strojni w pikelhauby pruskie, chodzili po przedmieściach od domu do domu i tam żywem słowem powtarzali argumenta, przywiedzione w odezwie, jak: język niemiecki otwiera dziatwie świetniejszą karyerę, niż polski, że wystarczy jej nauka pacierza w języku polskim, ale nic wiecej, i t. p. Nadto dyrektor fabryki mebli giętych firmy Kohna z Wiednia, jakiś p. Grabmajer, śród licznych robotników i robotnic fabrycznych, wyłącznie Polaków, rozwinął namiętną agitacyę przeciw szkole, grożąc tym, którzyby się ważyli posłać dzieci do szkoły polskiej, odebraniem pracy, równocześnie zaś pismo codzienne, prusofilska i polakożercza Silesia, zwana tu pospolicie, z powodu swego ustawicznego zrzędzenia na Polaków, „starą ciotką“, traciła zupełnie równowagę w bezsilnych miotaniach się swoich szczególnie na niestrudzonego sekretarza Macierzy, ks. Józefa Londzina.

Nie można powiedzieć, aby agitacya przeciw szkole polskiej była zupełnie bezowocna, gdyż niezawodnie powstrzymała ona niejednego z pośród mniej oświeconych, lub zależnych materyalnie od Niemców, od zapisania dziecka do szkoły polskiej. Jednakże, mimo agitacyi, która niezdołała powstrzymać powstania szkoły, do dziś (drugi dzień wpisów) zgłosiło się do niej około sto dziatwy tak, że w tym roku będą otwarte klasy pierwsza, druga i trzecia, w latach następnych przybędą czwarta i piąta. Wpisami kierował w zastępstwie dyrektora szkoły, p. Godłowskiego z Nowego Sącza, który tu jeszcze nie przybył, nauczyciel p. Dorula. Rok szkolny rozpocznie się w obu zakładach polskich uroczystem nabożeństwem w środę d. 19 bm., jak w ogóle w zakładach szkolnych w Austryi (z wyjątkiem Galicyi zachodniej), gdzie nie obchodzą świąt obrządku greckiego.

Nie potrzebuję dodawać, że mieliśmy tu kilka dni przykrego oczekiwania, niemal trwogi, czy szkoła będzie, czy nie będzie, czy się dostateczna ilość dzieci zapisze. To też, gdy dziś w południe ks. Londzin przyniósł wiadomość, że szkoła jest, radość ogarnęła wszystkich. Liczono, że mniej dziatwy będzie z Cieszyna, a więcej ze wsi okolicznych. Tymczasem stało się wprost przeciwnie, gdyż właśnie samo miasto dostarczyło główne go kontyngentu dziatwy tak, że właściwie nie Macierz, ale gmina powinna utrzymywać szkołę, gdyby Niemcy zechcieli szanować obowiązujące ustawy szkolne.

Jeszcze jedna wiadomość ważna. Budynek, w którym mieści się gimnazyum polskie, stał się od dni kilku własnością Macierzy. Zapłacono zań przeszło 84.000 koron, a kupno to było koniecznością ile, że właściciel domu p Mattera, zaangażowawszy się w przesiębiorstwa, wymagające wielkiego nakładu pieniędzy, był zmuszony do sprzedaży kilku swych realności. Była tedy obawa, że dom gimnazyalny przejdzie w ręce niemieckie, co znów groziło zakładowi znalezieniem się na ulicy.

Jak wspomniałem, wpisy do gimnazyum już rozpoczęte. Wedle sprawozdania ostatniego gimnazyum miało w r. szk. 1899/900 w pięciu klasach, z których pierwszą podzielono na dwa oddziały, uczniów 223. W r. b. przybywa klasa VI., a nadto do pierwszej, jak dotąd, wpisała się liczba uczniów wcale znaczna. Grono nauczycielskie, które w roku ubiegłym liczyło osób 12., pozostaje w r. b. pod względem liczebnym niezmienione, być może nawet, że pozyska jednę więcej siłę, jeśli przybędzie prof. Fr. Habura z Tarnowa, który, uzyskawszy emeryturę w gimnazyum rządowem, zapowiedział swój przyjazd i tylko ze względów, które są tajemnicą biurokracyi austryackiej, nie może się rozstać ze szkołą rządową.

Statystyka uczniów gimnazyum polskiego w Cieszynie jest wymownym protestem przeciw plotkom Niemców, jakoby zakład stał jedynie napływem uczniów z Galicyi. Z liczby 223 Galicya dostarczyła zakładowi uczniów 49, Królestwo polskie jednego, Śląsk 172., t. j. przeszło 77 procent.

J. A. S.

TEATR.

Ruski teatr narodowy wystawił we czwartek po raz pierwszy komedyę Dr. I w a n a F r a n k i pt. *„Nauczyciel“*, która do sali „Gwiazdy“ ściągnęła nie tyle liczną, ile doborową publiczność.

Sztuka dr. Franki jest raczej udramatyzowanym obrazkiem życia, niż komedyą, i dlatego nie pozostawia po sobie trwałego wrażenia. Fabuła i jej układ bardzo prosty. Nauczyciel ludowy debiutuje w swym zawodzie we wsi, której mieszkańcy uważają szkołę za rzecz im obcą i narzuconą i za poduszczeniem arendarza nie chcą dzieci do szkoły posyłać — czynią na każdym kroku trudności i niecnemi kalumniami obrzucają młodego pedagoga. Sytuacya napina się — parobkowie grożą nauczycielowi pobiciem... aż deus ex machina w postaci żandarma uśmierza burzę, nakładając arendarzowi łańcuszki. Po trzech latach akt trzeci. Egzamin w szkole wykazuje wspaniały plon pracy młodzieńca — Rada szkolna w „uznaniu jego zasług“ przenosi go z awansem na jeszcze trudniejsze stanowisko — nie dając mu się nacieszyć owocem swego siewu.

„Quem dii odere, pedagogum fecere“, kogo bogowie nienawidzą, tego czynią pedagogiem...

W tę główną akcyę wplata się nieodzowna uboczna akcya erotyczna między siostrą i przyjacielem nauczyciela.

Sztukę tę odegrano gładko i udatnie, choć bez pretensyi. Gra i wystawa dawała wrażenie dobrego teatru amatorskiego, którego członkowie, mimo braków zawodowego wyrobienia, dobrze pojmują role i zręcznie się z nich wywiązują.

Nastrój publiczności, poważny jak na koncercie, dawał uczuć, że zgromadziła ją nietylko ochota do zabawy — ale głębsze uczucie narodowej jedności...

g. b.

Wiadomości bieżące.

× **Rocznicę 200-tną urodzin wielkiego reformatora szkolnictwa naszego,** ks. St. K o n a r s k i e g o, uczci dwutygodnik dla młodzieży szkolnej „Przyjaciel młodzieży“ osobnym numerem, który wyjdzie z końcem bm. i poda podobiznę i życiorys jubilata, oraz pogląd na szkolnictwo przed nim i jego reformę. Celem jak największego rozpowszechnienia numeru tego zniżono zamawiającym go w setce przynajmniej egz. z 30-tu na 16 h Chyba szkoły nasze skorzystają z tego.

× **Dla kresów.** Komitet lwowski, zajmujący się zbieraniem składek na założenie w Czerniowcach bursy polskiej im. Adama Mickiewicza, uprosił Towarzystwo miłośników sceny o urządzenie na cel powyższy przedstawienia teatralnego.

Przedstawienie to przyjdzie do skutku w niedzielę, 30. bm., w sali lwowskiego Sokoła. Amatorowie odegrają sztukę ludową w 3. aktach ze śpiewami i tańcami pt. „Dwa obozy“, napisaną przez dr. Sydona Friedberga. Sztuka była nagrodzoną na konkursie „Kuryera Warszawskiego“, a we Lwowie będzie wystawiona po raz pierwszy. Dr. Friedberg jest również autorem „Zmory“, komedyi, nagrodzonej na ostatnim konkursie Wydziału krajowego. Na przedstawieniu — jak się dowiadujemy — będzie obecnym autor.

Towarzystwo miłośników sceny pozyskało sobie wśród polskiej publiczności opinię wybornej trupy amatorskiej, a przedstawienia jego cieszą się u nas wielkiem i zasłużonem powodzeniem.

Tym razem do powyższego wabika przybywa jeszcze cel szlachetny i sława młodego autora sztuki, co wszystko pozwala mieć nadzieję, że sala Sokoła na przyszłą niedzielę będzie przepełniona. Przedstawienie zakończy się mazurem, odtańczonym w cztery pary. W antraktach grać będzie orkiestra 30 pułku piechoty.

Ceny miejsc: fotel 3 korony, krzesło w pierwszych rzędach 2 korony, w dalszych 1 koronę, wstęp na salę 60 halerzy. Bilety są do nabycia w biurze Towarzystwa przy ul. Batorego 24, oraz w cukierni p. Czudżaka przy pl. Maryackim.

× **Dom Mickiewicza?** Stowarzyszenie Polaków w Konstantynopolu ogłosiło odezwę, wzywającą do składek na zakupno domu, w którym umarł Adam Mickiewicz. Dom ten ma być użytym na cele wychowawcze młodzieży polskiej w Carogrodzie.

Przeciw zakupnu realności na cel tak szlachetny nic, oczywiście, mieć nie możemy i życzymy szczerze, ażeby projekt przyszedł do skutku; dla ścisłości jednak historycznej przypominamy, że w domu, o którego kupno rozchodzi się, Mickiewicz nie umarł, azatem nie należy mu się nazwa „domu Mickiewicza“.

Dom na Perze, gdzie w r. 1855. zmarł nasz poeta, padł po kilku latach pastwą pożaru. Na tem miejscu stanął dom nowy zupełnie, który jest dzisiaj własnością pani Ratyńskiej. Nowa ta kamienica posiada więc z pamięcią Mickiewicza tyle chyba spójni, że wznosi się na miejscu, gdzie niegdyś stał „dom Mickiewicza“.

× **Artyści nowego teatru miejskiego we Lwowie.** Skład trupy p. Pawlikowskiego we Lwowie jest dotychczas następujący:

Sekretaryat pp.: Węgrzyn i Sachorowski.

Personal dramatu: Arkawin Helena, Bednarzewska Konstancya, Chmielińska Helena, Cichocka Zofia, Gostyńska Anna, Jankowska Janina, Mrozowska Jadwiga, Ogińska Antonina, Nałęcz Wanda, Rybicka Paulina, Siennicka Natalia, Stachowicz Felicya, Solska Irena, Węgrzynowa Faustyna, Miłowska; Antoniewski Władysław, Adwentowicz Karol, Bielecki Maryan, Chmieliński Józef, Feldmann Ferdynand, Hierowski Stanisław, Kwiatkiewicz Władysław, Kliszewski Antoni, Nowacki Jan, Olszański Michał, Roman Władysław, Solski Ludwik, Węgrzyn Maksymilian, Woleński Władysław, Czystogórski Ludwik (rekwizytor).

Do opery zaangażowani dotychczas soliści: Merkl Marya, Korolewicz Janina, Ruszkowska Helena; Drzewiecki Henryk, Szymański Józef, Tarnawski Stanisław, Myszuga Aleksander, Jeromin Juljan, Paszkowski Władysław, Urich.

Operetka: Szuppówna Helena, Kasprowicz Amalia, Kliszewska Karolina; Hrehorowicz Jan, Bogucki Stanisław, Kiczman Adolf, Podhorski Henryk, Pasławski Karol, Żymirski Franciszek.

Chóry składać się będą z 60 osób.

Pierwszym dyrektorem opery jest Ludwik Czelansky z Pragi, drugim kapelmistrz Hock z Krakowa.

× **Pierwsze przedstawienie** w teatrze lwowskim odbędzie się dopiero w dniu 4. października.

Kurtyna Siemiradzkiego nie nadejdzie w tych dniach, jak mylnie donieśliśmy za pismami warszawskiemi, ale dopiero w listopadzie znajdzie się we Lwowie.

× **Teatr ruski we Lwowie.** Zawiązuje sie w mieście naszem Towarzystwo, celem budowy i prowadzenia stałego teatru ruskiego we Lwowie.

× **„Cyrce“**, baśń dramatyczna w 5-ciu aktach, Stanisława Rossowskiego, odszczególniona na ostatnim konkursie Wydziału krajowego, będzie wystawiona po raz pierwszy w teatrze krakowskim 29. listopada br.

× **Nekrologia.** W Krakowie 20 bm. zmarł na udar sercowy dr. Aleksander Z a r e w i c z nadzwyczajny profesor wszechnicy i prymaryusz szpitala powszechnego. Liczył lat 58. —W Zakopanem Jan K l e c z y ń s k i, prof. wszechnicy Jagiellońskiej.

× **Dżuma w Glasgowie** szerzy się coraz bardziej.

TYDZIEŃ EKONOMICZNY.

Wiec rękodzielników odbył się 16. bm. w sali ratuszowej lwowskiej, a wzięli w nim udział delegaci z całego kraju w liczbie przeszło 200 osób. Przewodniczył obradom p. St. Niemczynowski, a ze strony miasta powitał wiecowników prezydent dr. Małachowski. Obrady były bardzo ożywione, a przytem często bałamutne, wielu bowiem mówców co chwila odbiegało od przedmiotu. Rozchodziło się przedewszystkiem o zmianę ustawy przemysłowej, jakkolwiek z dyskusyi okazuje się, że rękodzielnicy nasi nie potrafili jeszcze wprowadzić w życie nawet tych korzyści i ulg, jakie im zapewniają ustawy obecne. Przypomniano (ref. p. Walichiewicz) uchwały VI. wiecu ogólno-austryackiego rękodzielników, który wyraził był kilka ważnych żądań, dotychczas niespełnionych i nawoływano, ażeby przy najbliższych wyborach domagać się od kandydatów walki o prawa rękodzielników. Rozmaici mowcy żądali ochrony drobnego przemysłu, żalili się na niechętne traktowanie spraw rzemieślniczych przez starostwa. Uchwalono także rezolucyę, domagającą się organizacyi samoistnych rękodzielników przez zakładanie Związków i tworzenie syndykatów, zamiast sądów przemysłowych. Postanowiono dalej, domagać się państwowego ubezpieczenia majstrów na wypadek choroby i nieudolności do pracy przez stosowny wymiar dodatku do podatku zarobkowego. Uchwalono potrzebę zmiany ordynacyi wyborczej do Izb handlowo-przemysłowych, aby rękodzielnikom zapewnić

równą liczbę przedstawicieli i wyłączny wpływ na opinią o sprawach przemysłowych. Żądano zwalczania przez rząd partaczów, usunięcia konkurencyi szkół przemysłowych, etc. Wkońcu uchwalono nie obsyłać zapowiedzianego w Pradze ogólno-słowiańskiego wiecu przemysłowego, gdyż przemysł nie ma nic wspólnego z tendecyami narodowemi. Przeciw tej uchwale wystąpił gwałtownie delegat z Krakowa, Kosobulski, jednak to nie wypłynęło na przekonanio uczestników wiecu.

Mimo doniosłej treści uchwał, wiec czynił wrażenie chaosu i braku należytego zrozumienia ze strony wielu delegatów, którzy traktowali go, jak gdyby zebranie przedwyborcze, a nie, jako fachową naradę nad dolą rękodzielników.

Fabryka produktów chemicznych powstaje w Borku Fałęckim, koło Podgórza, a to, celem wyrobu sody, soli glauberskiej, kwasu solnego itp. Fabryka da zajęcie kilkuset robotnikom, a ma widoki rozwoju, gdyż najgłówniejsze składniki wspomnianych wyrobów chemicznych są: sól i wapno, dotychczas za tanie pieniądze wywożone z kraju, a które następnie, jako produkt bardzo drogi, wracają do nas.

Nowa rafinerya nafty. Pp. Jan Godzicki i Jakób Aleksandrowicz budują w Skawinie rafineryę nafty na obszarze pięciu morgowym.

Banknoty 20-tu koronowe w miejsce not 10 cio reńskowych, kursują już od 20. bm.

„La Schodnica“, Towarzystwo belgijskie, które zakupiło było kopalnie schodnickie pp. Wolskiego i Odrzywolskiego od gal. Kasy oszczędności, zostało rozwiązane z powodu braku kapitału.

Podatek osobisto-dochodowy. Według wykazu ministerstwa skarbu, miały w wielkich miastach dochody roczne wyżej 200.000 koron: w Wiedniu 138 osób, w Pradze 14, w Tryeście 5, we Lwowie nikt; na prowincyi zaś miały takie dochody: w Austryi Dolnej 70 osób, w Czechach 42, w Galicyi 9 osób, na Bukowinie i Dalmacyi nikt.

Akcye Schodnicy cieszą się wielkim popytem i podniosły się o 30 koron z powodu korzystnych wiadomości o biegu interesów. Dywidendę tegoroczną cenią na 70 złr., podczas gdy za rok zeszły wynosiła tylko 60 zł.

Syndykat krajowy dla wynalazków Szczepanika ogłasza w dziennikach, iż do do konania dzieła brakuje jeszcze 200.000 koron, które pokryte zostaną przez dodatkową subskrypcyę, przyczem udziały na 500 koron zniżone będą. Otwarcie subskrypcyi już nastąpiło. Przygotowania do założenia patroniarni zostały równocześnie podjęte tak, że w końcu roku patroniarnia będzie już mogła funkcyonować.

Kwestya węglowa. Konsulat austryacki w Sheffield donosi, iż tamtejsi fachowcy przewidują niebywały krach w handlu węglami. Obawa bowiem przed dalszem pod wyższeniem cen zachęciła kupców do nagromadzenia ogromnych zapasów. Krach nastąpi wtedy, jeżeli kupcy będą chcieli pozbyć się swoich zapasów. Wywóz węgli z Anglii wynosił w pierwszych miesiącach br. 20.4 mil. funt. szterl. w porównaniu z rokiem zeszłym o 11.4 mil. funtów więcej.

Wobec wysokich cen węgla, produkcya w wielu fabrykach, szczególnie przędzalniach nie opłaca się, przedsiębiorstwa te skorzystały tedy z podniesienia cen węgla, ażeby zmniejszyć ilość dni pracy o trzecią część, o połowę i zapowiadają, że zamkną przędzalnie całkowicie.

Sprawozdanie Banku rolniczego. Lwów dnia 22 września 1900 r. (Waluta koronowa).

Dziś notujemy za 50 klg. loco Lwów.

Pszenica gotowa 7·50 do 7·75, na termina 7 30 do 7·50.

Żyto gotowe 6 30 - 6 50, na termina 6·— do 6 30. Owies obroczny gotowy 5 60 do 5·80. Owies na termina 6·50 do 7·—.

Jęczmień pastewny 5·40 do 5·70, browar. 6 50 do 7·—.

Rzepak 13·— do 13·50, nowy — — do —·—, groch pastewny 6·75 do 7·—, do gotowania 7 50 do 12·—, wyka —·— do —·—. bobik —·— do —·—, hreczka —·— do —·— kukurudza nowa —·— do —·— stara —·— do —.—, chmiel za 56 kilo —·— do —·—, koniczyna czerwona 65·— do 75·—, biała 40·— do 70·—, szwedzka —·— do —·—, tymotka 7·— do 20·—, spirytus paritas Tarnopol gotowy 18·75 do 19·—, spirytus na termina 16·50 do 17·50.

Uwaga: Usposobienie niezmienne.

Właściciel i wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.